

● ZAMACH NA BIERUTA W LUBLINIE ● ZMNIJSZYĆ POLSKĘ ●
● TROPEM WOJENNEJ FOTOGRAFII ● TRZY WYZNANIA W JEDNEJ
WSI ● ZYDOWSKIE PAMIĄTKI ● DWIE AMBONY ● „ZGINEŁO” 619
MIESZKAŃ ● SACHAROW ● ŁOBODOWSKI ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW ●

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 2-8 III 1989 R.

NR 7

CENA 50 ZŁ

KTO, JAK I ZA JAKĄ CENĘ ZAGOSPODARUJE 100 TYSIĘCY HEKTARÓW

ZMNIJSZYĆ POLSKĘ

Henryk Pająk

BO to prawda: Polska jest za duża. Jest za duża o około 30 procent swego terytorium. I nie jest to jakieś niedopatrznie konferencji jałtańskiej, lecz nasze polskie bałaganiarstwo. Na tyle bowiem ocenia się przygraniczne obszary strasznego zaniedbania gospodarczego i społecznego, obszar terenów zapomnianych przez Boga i ludzi. Opasują one kraj niemal dookoła. Są to: północno-wschodnia część kraju, Sudety, Bieszczady, pogranicze zachodnie oraz zniszczone Żuławy. Każdą z tych enklaw cechują dramatyczne dysproporcje w stosunku

do obszarów centralnych, zaniedbania czyniące z nich obszary Polski B, Polski C. Z kolei centrum jest tak zatłoczone urbanistycznie i przemysłowo, że mamy tam do czynienia z realną groźbą klęsk ekologicznych. Skąd się to wzięło?

Są to ponad czterdziestoletnie skutki dyktanckiej polityki gospodarczej państwa. Zaczęło się od wielkiej wędrówki ludów ze wschodu na zachód. Nietkniętym pasem pozostała jedynie przestrzeń między Bugiem a Wisłą. Tereny wschodnie, i tak już okrojone w

rezultacie przesunięć granicznych, oczyszczano z ludności sprzyjającej nacjonalizmowi. Chodziło o usunięcie naturalnego zaplecza dla band. Ludzie zresztą uchodzili stamtąd bez oporu, ginęli bowiem z racji samej swojej polskości.

Dla odmiany, ziemie zachodnie należało za wszelką cenę, mocą pryncypialnego nakazu geopolitycznego jak najszybciej zaludnić i zagospodarować. Miliony repatriantów zamieszkały na Ziemiach Zachodnich z poczuciem tymczasowości, niepewności i konieczności.

W setkach tysięcy domów, zabudowań gospodarczych jedynym do dziś wysiłkiem inwestycyjnym pozostało zalatanie dziury w dachu. Nie pomogło pompowanie w te ziemie wielkich środków ruchomych i trwałych, kosztem pasa wschodniego, mniej widocznego dla oka Europy Zachodniej. Gdy w Opolskiem czy Wrocławskiem na jeden ciągnik przypadało kilkanaście hektarów, to w Chełmszczyźnie 70.

Wszystko daremnie. Poniemieckie gospodarstwa powoli marniały. Nasiedleńcy gospodarowali ekstensywnie, na pół gwizdka, na tyle, na ile pozwalały zastane narzędzia i budynki oraz przydziały nowych środków produkcji. Ich dzieci po usamodzielnieniu się uciekały do miast. Warunki były sprzyjające. Przemysł Śląska wabił. Wrocław, Opole, Szczecin, szybko odbudowane z gruzów potrzebowały rąk do pracy. Autochtoni, nosiciele dawnej skrzętności, wysokiej kultury rolnej, byli traktowani jako element podejrzany, niepewny, ponadto trochę zaciemniali obraz polskości Ziemi Odzyskanych. Nie uchowało się ani jedno gimnazjum niemieckie, bo i po co. Mówienie czy próba pisania o tym stawała się przykładem wręcz dywersji politycznej.

Teraz ci, którzy tam jeszcze zostali, ich dzieci, pospiesznie wygrzebują metryki niemieckich przaprzedków i wędrują do RFN. To nie zew krwi. To saksy, chęć wyrwania się z cywilizacyjnego, materialnego zaulka.

Przykładem pustyni społeczno-gospodarczej stały się Sudety. Dla przynajmniej rolniczego ratowania, odzyskania tych terenów, powstał przed laty słynny „program górski”; pomysł pokrycia Sudetów wielkimi kombinatami rolnohodowlanymi. Nic z tego nie wyszło. Teren trudny, górzysty, z dużą ilością opadów, ziemie trudne do uprawy. Poza tym infrastruktury gospodarczej i społecznej nie da się zadekretować, przywieźć w teczce, jak dyrektorów. Jej budowa czy odbudowa to proces długi, mądry, delikatny, wymagający restrukturyzacji przemysłu, usług i całej polityki rolnej, a może i polityki jako takiej. Na razie tego wszystkiego brakuje.



Fot. Waldemar Stępień

Dokończenie na str. 10

relacje ZE ŚWIATA

● **WSZYSTKIE OKAZJE** są dobre do uprawiania gry dyplomatycznej — kolejnym przykładem na potwierdzenie tej tezy stał się pogrzeb cesarza Japonii, Hirochito. Na ceremonii reprezentowane były 163 kraje. Uczestniczący w niej prezydenci, premierzy, czy tylko „zwykli” ministrowie, odbyli rozmowy, do których — gdyby nie ta okoliczność — z pewnością by nie doszło. Aktywnością wykazał się prezydent USA, G. Bush. Bezpośrednio z Tokio udał się on do Pekinu.

● **PO KILKU MIESIĄCACH** dużej aktywności „na froncie wewnętrznym” (ostatnim przykładem wizyta na Ukrainie), Michaił Gorbaczow czyni ostatnie przygotowania do „ofensywy dyplomatycznej”, która wiosną i latem ma przetestować się m. in. przez Londyn, Hawanę, Paryż, Pekin, Rzym i Watykan. Gorbaczow zaproszono także do odwiedzenia Strasburga, siedziby Parlamentu Zachodnioeuropejskie-

go. „Ofensywa” rozpocznie się po 26 marca, gdy zakończą się wybory do radzieckiego parlamentu, stanowiące zasadniczy element reformy politycznej.

● **W AFGANISTANIE**, po dymisji rządu, władzę przejęła Najwyższa Rada Obrony Ojczyzny. W odpowiedzi opozycja wyłoniła prezydenta i premiera Tymczasowego Rządu mudżahedinów. Choć w kraju tym panuje względny spokój, wszystkie problemy narodowościowe, społeczne i gospodarcze (sygnalizowane także na tych łamach) są ciągle otwarte.

● **PO SKAZUJĄCYM** (na karę śmierci) wyroku Chomeiniego, wydanym na autora „Szatańskich wersełów”, państwa EWG wycofały swoich ambasadorów z Iranu. Irańscy dyplomaci akredytowani w tych krajach również otrzymali polecenie powrotu do domu. „Szatańska” gorączka trwa.

● **W WILNIE**, w miejscowej katedrze, odbyła się ponowna konsekracja świątyni. Od 1956 r. mieściła się tu galeria obrazów.

● **UMOWA GOSPODARCZA** między Polską a Wspólnym Rynkiem, jak się wydaje, może być kwestią niedalekiej przyszłości. EWG powołała specjalną komisję do rokowań z Polską, obdarzając ją stosownymi pełnomocnictwami. Na euforię jednak za wcześnie, a już mija na nią ochota, jeśli zważy się, że Węgrzy parafowali już taką umowę, natomiast ZSRR i NRD zdążyły akredytować w EWG-owskim imperium swoich ambasadorów.

● **OGRANICZENIA CELNE**, wprowadzone niedawno w niektórych krajach socjalistycznych, pozostają w niezgodzie z rozwojem socjalistycznej integracji — to teza artykułu bułgarskiego profesora, M. Stoimenowa, zamieszczonego w tygodniku „Ikonomiczeski Żiwot”. W konkluzji autor stwierdza: „Nie mini wojny celne, tylko uzgodnione działania, zmierzające do rozstrzygnięcia problemów, służą interesom narodów krajów członkowskich RWPG”.

● **KOREA POŁUDNIOWA** stała się w 1988 r. największym światowym

eksporterem Pisma św. Siedem milionów egzemplarzy, w 119 językach, wyeksportowano do 90 krajów świata.

● **CO MINUTĘ** rodzi się 29 Chińczyków. W ubiegłym roku w „państwie środka” przyszło na świat 15,4 mln dzieci, czyli tyle, ile wynosi liczba wszystkich mieszkańców Australii. Zaś na pytanie: ilu Chińczyków będzie w 2000 r., odpowiedź (przewidywana) brzmi — 1,3 miliarda.

● **RELIGIA W ALBANI** nie jest już przestępstwem, jeżeli będzie „uprawiana” w domach i prywatnie — oświadczył premier tego kraju Ramiz Alia. Tak więc, kto modli się w swoim mieszkaniu, nie narusza porządku prawnego i nie będzie represjonowany. Przed ponad trzydziestu laty Albania została proklamowana jedynym całkowicie ateistycznym państwem świata, a każdy nawet najmniejszy przejaw uczuć religijnych był zakazany i ścigany prawnie. Obecna decyzja szefa państwa odczytywana jest jako przejaw liberalizacji życia w tym kraju bałkańskim. Przypomnijmy, że Albania jest wybitną postacią katolicyzmu współczesnego — matka Teresa z Kalkuty.

(wjp)

relacje z KRAJU

● **SEJMOWA DEBATA** (24 lutego) poświęcona była polityce zagranicznej PRL, problemom rolnictwa i konsolidacji gospodarki. Bliższe informacje przyniesie codzienna prasa.

Zostając przy sejmowej tematyce, przytoczmy — choć z pewnym opóźnieniem — fragment wystąpienia lubelskiego posła Ryszarda Bendera na 43 posiedzeniu naszego parlamentu (15 lutego). Mówił on o swoich wątpliwościach wywołanych projektem budżetu centralnego, duży passus poświęcił powołanemu ostatnio do życia Stronictwu Pracy (prezesem ZG został mec. Władysław Siła-Nowicki), a także sprawie żywo obchodzącej mieszkańców naszego regionu:

„Rząd powinien poniechać kontrowersyjnych prób rozwoju energetyki jądrowej, bardzo kosztownej. Dam przykład. Widmo jej następstw zawisło obecnie nad Kazimierzem nad Wisłą i Kazimierskim Parkiem Krajobrazowym. Budowa elektrowni atomowej w Chotczy — 2 km od tegoż parku, 10 km od Kazimierza, 30 w prostej linii od Lublina, zmienia region do niepoznania. Znikną uprawy truskawek i chmielu, największe w kraju. Nikt

w Europie nie zakupi produktów tego regionu, dziś eksportowanych. A poza tym nie ma absolutnie bezpiecznych elektrowni atomowych”.

● **MIMO LICZNYCH APELI**, motywowanych m. in. spokojem, który powinien towarzyszyć „okrągłemu stołowi”, wzrasta liczba strajków i sporów zbiorowych. U podstaw najczęściej leżą żądania podwyżek płac. Z regionu: załoga biłgorajskiej „Mewy” zakończyła strajk po złożeniu obietnicy przez dyrekcję zakładu podwyższenia zarobków średnio o 17 tys. zł.

Grająco jest również w uczelniach i na ulicach niektórych miast, głównie za sprawą członków i sympatyków NZS. Domagają się oni zgody (szybkiej) na oficjalną działalność tej organizacji. W komentarzach (również traktujących o zajęciach ulicznych), obok stwierdzeń, że spokój jest dziś wartością ogromną, mówi się i o „cenie, którą należy płacić za naukę demokracji”.

● **WŁADZE ADMINISTRACYJNE** nie są skore do udzielania zezwoleń na manifestacje i będą musiały zmienić ten obyczaj — powiedział szef Mili-

cji Obywatelskiej, gen. Trzciniński na spotkaniu z górnikami.

● **OGÓLNOPOLSKIE POROZUMIENIE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH** zgłosiło oficjalny protest przeciwko sposobowi relacjonowania przez TVP obrad „okrągłego stołu”, a bliżej — przeciwko „nieoficjalnemu” prezentowaniu przedstawicieli OPZZ, biorących udział w tychże obradach. Jako że zdziwienie wyrażali już obiektywni obserwatorzy debaty, czujemy się zwolnieni od komentarza.

● **EWENEMENT**: cena bonów PKO spadła w skupie do 3200 zł. Bankowcy, ustami dyr. Krzaka, twierdzą, że nie tylko przewidzieli spadek kursu dolara, ale że to, co się stało, jest ich zasługą. Jakby było — faktycznie skup przewyższa dziś sprzedaż.

● **PORTFELE** będziemy mieć chudsze. 1 marca wszedł do obiegu banknot o nominale 20 tys. zł z konterfektem Marii Skłodowskiej-Curie. Ponoć przygotowywany jest również banknot pięćdziesięciotysięczny.

● **PRYMASOWSKA RADA SPOŁECZNA** wypowiedziała się w sprawie przywrócenia godności i wartości pracy. „W wielu miejscach pracy w Polsce — czytamy w piśmie okólnym — nie ceni się wysokich kwalifikacji, pracy rzetelnej i dokładnej, oszczędności i dbałości o swój warsztat. Tolerowa-

na bywa lub wręcz organizowana praca pozorna lub też taka, której owoce pozostają nie wykorzystane”.

Sprawa ta, brzmi konkluzja, ma kluczowe znaczenie dla Polski końca lat 80.

● **ZG ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH** alarmuje: „Nie dość, że w CPR na 1989 r. limit papieru na cele wydawnicze do dyspozycji ministra kultury i sztuki został zmniejszony o 15 tys. ton, co zapowiada spadek produkcji książek o około 16 procent, to jeszcze te skąpe nakłady są poważnie zagrożone. Z braku podstawowych surowców, przede wszystkim celulozy, następują przestoje w produkcji papieru, a równocześnie Polska jest znaczącym eksporterem papierówki i celulozy [...]. Dynamika wzrostu cen książek przewyższy wszystko, z czym mieliśmy do czynienia w ostatnich latach. Przeciętą ceną książki już w grudniu 1988 r. była o 200 proc. wyższa niż w tym samym okresie 1987 r.”.

● **DWANASIE FILMÓW** ze świata, w tym jeden polski, w większości o dobrej renomie, znalazło się w programie tegorocznych „Konfrontacji”. Przegląd rozpocznie się 3 marca w warszawskim kinie „Skarpa” projekcją głośnego obrazu Bertolucciego „Ostatni cesarz”, nagrodzonego m. in. 9 Oscarami. Nieoficjalnie powiada się, że „Konfrontacje” dotrą do Lublina na przełomie maja i czerwca.

relacje z REGIONU

● **CMENTARZ ORLĄT LWOWSKICH** już na wiosnę tego roku podany zostanie odbudowie, zaś kościół w Rudkach (tu pochowany jest Aleksander hr. Fredro) w ostatniej niemal chwili doczeka się remontu. Postanowienie takie zapadło podczas spotkania przedstawicieli resortów kultury Polski oraz Ukrainskiej SRR, do którego doszło w Chełmie. Nad przebiegiem tych prac czuwać będzie Fundacja Kultury Polskiej.

● **DEGRADACJI SŁYNNEGO KLIMATU NAŁĘCZOWA** dowodzą pomiary przeprowadzone przez Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną w Lublinie. Wykazały one kilkakrotnie, niedopuszczalnie szczególnie dla uzdrowiska, przekroczenie norm skażenia powietrza, wód powierzchniowych i glebinowych. Źródło wody mineralnej „Miłoś” może być eksploatowane, ale pod warunkiem, że pochodząca z niego woda poddana zostanie... chlorowaniu. Spaliny i hałas samochodowych silników (obwodnica ciągle pozostaje w sferze projektów) to dodatkowe czynniki kładące wątpliwość w skuteczność kuracji. Judym, gdyby się taki znalazł, potrzeby od zaraz.

● **NOWE PRZEJŚCIE** na granicy polsko-radzieckiej (po Miedyce, Terespolu i Kuźnicy Białostockiej) otwarte zostanie w Dorohusku, w woj. chełmskim. Począwszy od maja, odprawiani

tu będą podróżujący koleją, natomiast od 1 stycznia 1990 r. także samochodowicze i pasażerowie autokarów.

● **W UNIwersYTECIE MARIII CURIE-SKŁODOWSKIEJ** wyłoniony został (z Wydziału Matematyki-Fizyki-Chemii) siódmy samodzielny Wydział Chemii. Motywy: ponad połowę prac badawczych prowadzonych w minionym roku w UMCS firmowali pracownicy Instytutu Chemii; tu realizowano ogólnopolskie tematy badawcze i prowadzono produkcję doświadczalno-wdrożeniową; wysoką ocenę zyskała dydaktyka. Dziekanem został prof. Kazimierz Sykut.

● **ZWIĄZEK SYBIRAKÓW**, od ubiegłego tygodnia, ma filię w Lublinie. Zebranie organizacyjne odbyło się w kościele na Tatarach.

● **BEZPRECEDENSOWY GEST EKUMENICZNY** wykonał Katolicki Uniwersytet Lubelski wobec mniejszości polskich katolików żyjących w Lublinie. Budowa nowej świątyni tego Kościoła przy ulicy Kunickiego 9 została wsparta ofiarą pieniężną Instytutu Ekumenicznego KUL. Natomiast, proboszcz parafii polskokatolickiej Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, ks. dr. Bogusław Wcłynski został zaproszony do wygłoszenia w Kościele Akademickim KUL kazania. Również po raz pierwszy, jako ciekawost-

kę podajemy, że kościół budowany przez polskich katolików stanie dokładnie w miejscu... bożnicy wiernych wyznania mojżeszowego, która istniała jeszcze po wojnie jako budynek spółdzielni pracy, a w latach 50. została rozebrana.

● **8 LAT POZBAWIENIA WOLNOŚCI**. Taki wyrok otrzymał sprawca tragicznego wypadku samochodowego przy ul. Zana w Lublinie, w którego wyniku dwie osoby (w tym dziecko) poniosły śmierć, a pięć dalszych doznało obrażeń ciała. Były porucznik WUSW w Lublinie Jerzy Prenagal,

który 8 czerwca ub. r. po pijanemu prowadził swoją „ładę” i w takim stanie spowodował karambol, w ostatnim słowie wyraził ubolewanie z powodu tragedii, aczkolwiek do winy się nie przyznał. Wyrok Sądu Wojewódzkiego, który był w tym wypadku pierwszą instancją, nie jest prawomocny. Obrona w swoich przemówieniach miała pretensje do „Relacji”, że pisząc o procesie, podawały profesję oskarżonego, co miało służyć... „urabianiu opinii”. Bez komentarza.

(wjp)

Opracował: Zbigniew Miazga

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”

Nic albo niemal nic nie wiemy oficjalnie o funkcjonowaniu więzienia na Zamku i innych miejsc kaźni w Lublinie w latach 1944—54. Niewiele też powiedzieć da się o więzionych i przetrzymywanych tam ludziach. Nie ma bowiem (albo o nich nie wiemy) dokumentów, a temat ten, jak dotąd, nie stał się przedmiotem badań historyków. Dlatego też ową lubelską „białą plamę” wypełnić da się treścią pod warunkiem, że odezwa się świadkowie.

Taką — najkrócej — była treść mojej publikacji pt. LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”, pomieszczonej w piątym numerze „Relacji”, kończyła się ona prośbą o wspomnienia więźniów, aresztantów, także strażników i in.

Już w dniu ukazania się drukiem tej prośby otrzymałem pierwsze telefony; osobiście przybyli też ci, którzy zdecydowali się zaświadczyć. Niektórzy prosili o „czas na zebranie myśli”, inni chcieli wcześniej porozumieć się z towarzyszami z więzienia czy aresztanckiej celi. Dysponujemy już jednak pierwszymi wspomnieniami, pełnymi autentyzmu, przybliżającymi prawdę o czasach zwanych eufemistycznie okresem „błędów i wypaczeń”. Druk tych wspomnień rozpoczniemy w jednym z najbliższych numerów „Relacji”.

Dziś natomiast, w imieniu p. Zdzisława Kowalskiego (kierownik Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”, ul. Uniwersytecka 1, tel. 336-78), który podjął trud dokumentacji tego tematu, oraz własnym — ponawiam prośbę o współpracę.

Zbigniew Miazga

ZAMACH NA BIERUTA

Andrzej P. Przemyski

KRÓTKO po północy, 12 kwietnia 1945 r. na Zamku w Lublinie wykonano wyroki śmierci na 11 żołnierzach Armii Krajowej. Mjr Juliusz Nawrot „Lucjan”, por. Mieczysław Szczepański „Dębina”, ppor. Czesław Rossiński „Jemiola”, ppor. Bolesław Mucharski „Lekarz”, kpr. pdch. Tadeusz Jamroz „Zgrzyt”, kpr. pdch. Romuald Szydelski „Pawelek”, kpr. pdch. Mirosław Grabowski „Prawdzie”, kpr. Franciszek Bujalski „Sosna”, szer. Eugeniusz Jaroszyński „Ojciec”, szer. Zdzisław Barszczewski „Miś” i szer. Witold Młyniak „Waldek” zginęli w przeddzień zakończenia wojny z rąk własnych rodaków na mocy wyroku Wojskowego Sądu Okręgowego w Lublinie. Najstarszy z rozstrzelanych miał 38 lat, najmłodszy 20.

Wszyscy polegali byli żołnierzami Lubelskiego Inspektoratu AK, choć akt oskarżenia określał ich jako „grupę dywersyjno-terrorystyczną”. Zarzucano im m.in. przygotowania do zamachu na przewodniczącą KRN, Bolesławę Bierutę i przewodniczącego PKWN, Edwarda Osóbkę-Morawskiego.

Zarzut tego sąd nie podtrzymał, wydając swój wyrok, nadszadzając zresztą bezwzględny, na podstawie oskarżeń o przynależność do nielegalnej Armii Krajowej, niedopełnienie obowiązku rejestracji przez oficerów oraz udział w likwidacji konfidenta UB, Hersza Blanka.

40 lat po tych wydarzeniach także i sam Edward Osóbkę-Morawski, zapytany przez siostrę jednego z rozstrzelanych, por. Szczepańskiego, odpisał, iż nigdy nie był oficjalnie poinformowany o próbie zamachu na swoją osobę.

Zatem czy próba zorganizowania zamachu na życie Bieruty i Osóbkę-Morawskiego nie miała miejsca?

By uzyskać odpowiedź na to pytanie, należy cofnąć się do pierwszych dni sierpnia 1944 r.

Jeszcze pod koniec lipca, nieomal natychmiast po wejściu Armii Czerwonej, znajdujące się w pobliżu Lublina (i ujawniające się) oddziały 8 pp AK zostały rozbrojone. 5 sierpnia zostali aresztowani i wywiezieni do ZSRR gen. Kazimierz Tumidajski „Marcin”, komendant Okręgu Lubelskiego AK i Władysław Cholewa, Delegat Rządu na województwo lubelskie. Ci, którym udało się uniknąć pierwszej fali aresztowań, przeszli ponownie do konspiracji. Odtworzono Komendę Okręgu z ppłk. Franciszkiem Zakiem „Wirem” na czele. Nie podejmowano jednak żadnej czynnej działalności przeciwko PKWN i Armii Czerwonej.

Tymczasem od sierpnia rozszerzała się fala aresztowań. Na Zamku w Lublinie osadzano coraz to nowych żołnierzy AK.

2 listopada 1944 r. mjr Juliusz Nawrot „Lucjan”, szef lubelskiego KEDYWU, przekazuje ppor. Rossińskiemu „Jemiola” rozkaz ppłk. Franciszka Zaka „Wira”, by wykonać rutynowe rozpoznanie w celu przygotowania zamachu na Bierutę i Osóbkę-Morawskiego. Sam rozkaz do wykonania zamachu miał być wydany oddzielnie. Dyspozycja przekazana Rossińskiemu brzmiała:

„Przygotować i przemyśleć wszelkie możliwości, lecz zamachu nie wykonywać”.

„Lucjan” sugerował jednocześnie, by wykorzystać zbliżającą się rocznicę Rewolucji Październikowej. Z tej okazji planowana była akademii w gmachu teatru. Ponieważ było wysoce prawdopodobne, a wręcz pewne, że przedstawiciele najwyższych władz KRN i PKWN będą tam obecni, „Lucjan” za-

proponował wysadzenie w powietrze łoża zajmowanej przez dostojników.

„Jemiola” zaprotestował od razu, twierdząc, że z punktu widzenia czysto wojskowego taka akcja nie ma szans powodzenia.

Na przygotowanie akcji grupa dowodzona przez niego miałyby jedynie dwa do trzech dni. Brak było zaufanych ludzi wśród obsługi technicznej teatru, „Jemiola” nie dysponował wcale na miejscu, w Lublinie, odpowiednią ilością materiałów wybuchowych. Wątpliwość Rossińskiego wzbudził również polityczny sens takiej akcji. Przewidywał on, że po ewentualnym pomyslnym wykonaniu zamachu mogą nastąpić określone perturbacje, osłabiające pozycję Rządu RP w Londynie wobec aliantów zachodnich.

Rozkaz „Wira” był jednak jednoznaczny. „Jemiola” zaproponował opracowanie kilku wariantów zamachu i przedstawienie ich po kilku dniach do ewentualnego zatwierdzenia.

Następnego dnia, 3 listopada, mjr „Lucjan” został aresztowany przez SMIERSZ — kontrwywiad Armii Czerwonej i osadzony w budynku przy ul. Szopena 18. Aresztowanie to nie miało nic wspólnego z planowanym zamachem.

„Wir” jeszcze na przełomie sierpnia i września skłonny był do uspokajania wzbudzonych pierwszymi aresztowaniami emocji wśród akowców, do pertraktowania z PKWN. Dlaczego więc zdecydował się na wydanie rozkazu, którego realizacja mogła doprowadzić do nieobliczalnych następstw?

Częściowo tłumaczy to depesza datowana 19 października 1944 r., a nadana do Londynu:

„[...] Aresztowania oficerów i żołnierzy AK w ostatnich dniach b. duże. Z Zamku w Lublinie wywożą ich w nieznaną. Na dłuższą metę nie utrzymamy się [...] Propaganda PKWN nazywa nas bandytami, mordercami, faszystami, pachołkami Hitlera itp. [...] terror NKWD taki sam jak Gestapo. Interwencja konieczna [...]”.

Tego samego dnia „Wir” podpisuje kolejną depeszę, w której informuje, że wobec rozwoju wypadków nakazał samoobronę.

Powołany zostaje oddział likwidacyjny pod dowództwem ppor. Rossińskiego „Jemiola”, 4 listopada patrol z tego oddziału zabija w mieszkaniu przy ul. Kowalskiej 4 niejakiego Hersza Blanka. Ustalono wcześniej, że Blank był współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego zadunucjował władzom kilku ukrywających się b. żołnierzy AK.

5 listopada w mieszkaniu Witolda Młyniaka „Waldka” odbyła się pierwsza odprawa, na której „Jemiola” przedstawił swoim ludziom otrzymane rozkazy w sprawie planowanej akcji.

Do wykonania zamachu wyznaczono grupę w składzie: ppor. Rossiński, por. Szczepański, kpr. pdch. Szydelski, szer. Młyniak oraz dwóch dalszych żołnierzy o pseudonimach „Raby” i „Mietek”.

Po przedyskutowaniu kilku projektów odrzucono te, które nie gwarantowały powodzenia akcji. Niewykonalne było podłożenie ładunku wybuchowego pod samochód Bieruty podczas jego postoju przed gmachem PKWN. Nierealny był też frontalny atak na sam gmach. Ten ostatni wariant mógł pociągnąć za sobą bardzo duże straty wśród ludności cywilnej. Ustalono ostatecznie trzy możliwe wersje wykonania akcji.

Pierwsza z nich polegała na zaatakowaniu samochodu, wiozącego Bolesła-

wa Bierutę i Edwarda Osóbkę-Morawskiego, na terenie pomiędzy gmachem PKWN a ich mieszkaniami. Oddział dysponował wystarczającą ilością uzbrojenia do przeprowadzenia takiej akcji. W samym Lublinie i w magazynie (w lesie opodal Majdanu Kozłowieckiego) posiadano 9 pistoletów, 15 pistoletów maszynowych, 8 skrzynek min, kilkadziesiąt granatów, w tym przeciwpancerne gammony, oraz dużą ilość amunicji.

Problem stanowić mogło rozpoznanie trasy przejazdu, nie było to jednak niemożliwe. Z całej grupy, skierowanej do przygotowania zamachu, „Waldek”, „Miś” i „Raby” byli kierowcami w PKWN, w Biurze Ekonomicznym pracował też (pod nazwiskiem Łebkowski) por. Szczepański.

Założono, że w momencie, gdy ostatecznie wydany zostanie rozkaz do akcji, grupa wyznaczona do ataku zajmie stanowiska w rejonie skrzyżowania ulic Szopena, Lipowej i Nowej Drogi. Droga przed nadjeżdżającym samochodem Bieruta miała być zablokowana samochodem lub ręcznym wózkiem. Po obrzuceniu wozu i eskorty granatami i ostrzeleniu z pistoletów maszynowych miał nastąpić odskok samochodem „willys” pozostawionym w pobliżu przez „Waldka”, który miał ubezpieczać akcję. „Jemiola” rozkazał, by w ciągu najbliższych dni „Waldek” dokonał rozpoznania tras, jakimi poruszali się Bierutę i Osóbkę-Morawski.

Drugi wariant zamachu opracowany był w przewidywaniu, iż w listopadzie Bolesław Bierutę i Edward Osóbkę-Morawski opuszczą Lublin, udając się samolotem do Moskwy. W czasie drogi na lotnisko w Dysie — na ul. Lubartowskiej lub poza granicami Lublina — samochód miał być obrzucony granatami i ostrzelany z pistoletów maszynowych. Był to wariant trudniejszy do realizacji, jednak zapewniał znacznie łatwiejszy odskok po akcji. Wadą był brak możliwości ustalenia terminu akcji, wszystko zależało od tego, czy i kiedy przewodniczący KRN i PKWN opuszczą Lublin. Mimo to por. Szczepański podjął się rozpoznania trasy Lublin-Dys w celu wyszukania dogodnego miejsca do zorganizowania zasadzki.

Ostatni z przyjętych wariantów opierał się na tym, że po oficjalnych uroczystościach w teatrze przedstawiciele władz opuszczali budynek bocznym wejściem. Tam miała zostać zorganizowana zasadzka. Wariant ten traktowano jako awaryjny i nie podjęto prób rozpoznania terenu.

Po tygodniu, 12 listopada, cała grupa spotkała się powtórnie. Oprócz osób przewidzianych do udziału w akcji zameldowali się też szer. Jaroszyński „Ojciec”, dysponujący jednym z magazynów broni, i kpr. pdch. Grabowski „Prawdzie”. Por. Szczepański zameldował, że odnalazł wprawdzie kilka miejsc, które jego zdaniem nadawałyby się na zasadzkę, lecz nie dokonał jeszcze ostatecznego wyboru. Podobnie „Waldek” stwierdził, że mimo nawiązania kontaktu z kierownicą Bierutę, ustalenie niezbędnych szczegółów zajmie jeszcze trochę czasu.

Dowódca oddziału, ppor. Rossiński znalazł się w trudnej sytuacji. Pozbawiony był już kontaktów z aresztowanym „Lucjanem”, nie mógł też skontaktować się z „Wirem”, który wobec fali aresztowań ukrył się. Trudności natury wojskowej w przygotowaniu zamachu wydawały się do pokonania, jednak wątpliwe było, czy rozkaz do działania zostanie kiedykolwiek wydany. Dodatkowo, od samego początku zarówno „Jemiola”, jak i reszta członków grupy były do tej akcji nastawieni bardzo sceptycznie, nie wierząc w jej sens polityczny.

Po wysłuchaniu meldunków podwładnych „Jemiola” zdecydował się, na własną odpowiedzialność, na zawieszenie dalszych przygotowań do zamachu.

Wkrótce potem oddział „Jemiola” został rozwiązany.

Sprawa planowanego zamachu wpłynęła ponownie w styczniu 1945 r. Większość żołnierzy oddziału „Jemiola” była już aresztowana z innych powodów. Podczas przesłuchiwań przez oficerów SMIERSZU, którzy z akowców załamał się i wspominał o planowanym zamachu. Od tej pory całe śledztwo ruszyło tym torem. Aresztowano wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z zaniechaną akcją, jedynie „Rabemu” i „Mietkowi” udało się uciec.

Pod koniec stycznia 1945 r. wszystkim aresztowanym przekazano Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. 26 lu'ego śledztwo zostało zamknięte, a 21 marca naczelna Prokuratura WP skierowała akt oskarżenia do sądu.

Proces zaczął się 4 kwietnia posiedzeniem niejawnym, w którym nie uczestniczyli ani oskarżeni, ani prokurator. W czasie dyskusji zdecydowano się nie brać pod uwagę zarzutu o planowaniu zamachu, ponieważ oskarżeni dobrowolnie odstąpili od jego wykonania.

Pomimo to 9 kwietnia 1945 r. zapada w procesie 11 wyroków śmierci. 11 kwietnia Naczelny Dowódca Wojska Polskiego, generał Michał Rola-Zygmierski, wyrok zatwierdził, tego samego dnia decyzję tę parafował sam Bolesław Bierut.

12 kwietnia 1945 wyrok wykonano na Zamku w Lublinie.

Nie da się dziś precyzyjnie i do końca zrekonstruować opisanych powyżej wydarzeń. Tylko dwaj ocalałi członkowie oddziału „Jemiola” — „Raby” i „Mietek” mogliby coś uzupełnić czy wyjaśnić. Ich późniejsze losy są jednak nieznane.

Trudno po latach formułować ceny dotyczące opisywanych wydarzeń. W tym czasie rozpoczynała się Polsce regularna wojna domowa, która miała trwać jeszcze przez kilka lat. Oceny moralne związane z wyborem, którego dokonywali żołnierze „Jemiola”, wyborem strony, po której należało się odpowiedzieć, będą i dzisiaj nacechowane subiektywizmem.

Nie sposób jednak nie podkreślić instynktu politycznego dowódcy oddziału ppor. Rossińskiego. Był on zdecydowany walczyć z wrogą mu władzą, nie miał chyba zresztą innego wyboru. Był doskonale przygotowany pod względem wojskowym do tego typu działań. Był cichociemnym przeszkolonym w dywersji, od jesieni 1943 r. był oficerem KEDYWU. W skład grupy, którą dysponował, wchodził drugi skoczek, por. Szczepański, także przeszkolony w dywersji. Mając wszystkie niezbędne do tego celu środki materialne, w chwili, gdy decyzja zależała tylko od niego, „Jemiola” nie zdecydował się na zabójstwo mogące niekorzystnie wpłynąć na pozycję Rządu RP. Nie zdecydował się na dokonanie aktu terroryzmu. Wątpliwości takich nie miał przecież, gdy chodziło o likwidację konfidentów; działanie rozumiane przez niego jako akt samoobrony.

Historia niedoszedłego do skutku zamachu może dziś jedynie stanowić kolejną ilustrację tragizmu tamtych dni.

Dr Andrzej P. Przemyski jest adiunktem w Zakładzie Historii Najnowszej UMCS. Zajmuje się historią AK i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, dziejami „Holocaustu” oraz propagandą w okresie II wojny światowej.

SZUKAJĄC MOŻLIWOŚCI WYŁADOWANIA TEMPERAMENTU DZIENNIKARSKIEGO ZACZĄŁEM UKŁADAĆ POEMATY

ŻYWOT JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO (5)

Józef Zięba

BURZA spowodowana gwałtowną przemianą ideową nie wpłynęła na zahamowanie twórczości literackiej Łobodowskiego. Odnosi się nawet wrażenie, jakby wywoływanie skandali wyzwalalo energię twórczą poety. W tym samym 1935 roku, w którym zbiór jego wierszy „Rozmowa z ojczyzną” wywołał tak gwałtowne polemiki, wydał w Bibliotece Poetyckiej nie istniejących już „Dzwigarów” tom przekładów wierszy poetów rosyjskich pod zmiennym tytułem „U przyjaciół”. Znalazły się w nim tłumaczenia utworów Lermontowa, Błoka, Jesienina i Majakowskiego. W „Słowie od autora” tłumaczył się, iż zmuszony był wybrać tylko utwory najbliższe mu uczuciowo. Ze względu na trudności finansowe musiał wyeliminować z tomu wiersze Niekrasowa, Wołoszyna, Gumilowa, Puszkina, Briusowa i Pasternaka.

W roku 1936 wydał kolejny tom własnych wierszy „Demonom nocy”. Zawarł w nim utwory przepełnione pesymizmem i goryczą, zwiastujące nadciągającą katastrofę. Tom ten wzbudził duże zainteresowanie krytyki literackiej, a Polska Akademia Literatury przyznała Łobodowskiemu Nagrodę Młodych za rok 1937. Było to najwyższe prestiżowe wyróżnienie w kraju, które sytuowało laureata na czołowej pozycji wśród młodego pokolenia poetów. Otwierało przed nim łamy wszystkich najważniejszych i najpoczytniejszych czasopism literackich. Łobodowski potrafił tę okazję należycie wykorzystać, drukując swoje wiersze i artykuły w „Skamandrze”, „Wiadomościach Literackich” i innych pismach.

Nie zrywał kontaktów z Lublinem. Nie opuszczała go jeszcze ciągle ambicja redagowania i wydawania własnego periodyku. W 1937 roku wznowił, upadły przed pięciu laty, „Kurier Lubelski”. Próba okazała się zupełnie niewypałem. Po kilku numerach dziennik zbankrutował. Jako nieprzyjemne wspomnienie tej niefortunnej inicjatywy jego redaktorowi pozostały spore długi. Nie zrażony niepowodzeniem napisał i wydał w tym samym jeszcze roku „Lubelską szopkę polityczną”, w której na zasadach autoironii podkpiwał i z burz, i z pomówień nagromadzonych wokół własnej osoby, i z niefortunnych poczynań redaktorskich.

Obarczony długami po upadku „Kuriera” skorzystał z zaproszenia wojewody wołyńskiego do redagowania w Łucku tygodnika „Wołyń”.

„Narail mi to mój serdeczny kolega z gimnazjum, Zbigniew Chomicz, krewny i sekretarz osobisty wojewody wołyńskiego, Henryka Józefskiego. Początkowo byłem luźnym współpracownikiem, następnie przeniosłem się do Łucka i zostałem faktycznym, chociaż nieoficjalnym redaktorem tygodnika „Wołyń”. Nieoficjalnym, bo wojewoda musiał liczyć się z czynnikami wojskowymi, z którymi i tak miał mnóstwo kłopotu, a ja miałem w wojsku bardzo złą opinię. Uprzednio dochodziło do tego, że Bączkowskiemu zabraniano drukować artykuły pod moim nazwiskiem. Wiersze i przekłady z poetów ukraińskich — tak, artykuły polityczne — nie. Bączkowski wpadł na pomysł i zaproponował mi pisanie pod pseudonimem. Tak zrodził się Stefan Kuryłło. Kuryłło, bo moja ówczesna narzeczoną, a następnie żoną była Kuryłłówna z domu. A skutek był dość zabawny. Ten sam wojskowy, który kreślił nosem na moje teksty, gratulował następnie Bączkowskiemu artykułów owego nieistniejącego Kuryłły. Skąd pan wytrzymał tego znakomitego publicystę? No, proszę”. („Kontakt”, październik 1987, s. 60).

Jadwiga Laura Zofia Kuryłłówna panienka z dobrego domu, była sym-

patią Łobodowskiego jeszcze od czasów gimnazjalnych. To ona zapewne sprawiała, że z Warszawy i z Łucka ciągle wracał do Lublina. Jej rodzice początkowo niezbyt życzliwym okiem patrzyli na młodzieńca o fatalnej reputacji, który ubiegał się o rękę ich córki. W końcu wyrazili zgodę i pierwszego marca 1938 roku w Katedrze Lubelskiej, bez ogłaszania zapowiedzi, odbył się ślub. „Religijny ten związek małżeński pobłogosławił ks. dr Stanisław Krynicki, wikariusz katedry lubelskiej”. (Z Księgi zaślubionych Katedry za rok 1938, nr 34).

Młodzi wyjechali do Łucka, ale przebywali tam krótko, gdyż po odwołaniu ze stanowiska wojewody Henryka Józefskiego, Łobodowski nie miał już co tam robić. Pod koniec 1939 roku przenieśli się do Warszawy i wynajęli niewielkie mieszkanie przy ul. Litewskiej. We wspomnieniach żony (nagranie archiwalne w Muzeum J. Czechowicza) Łobodowski był bardzo dobrym i troskliwym mężem. Utemperował swój nieujarzmiony charakter. Unikał dawnych, nie stroniących od mocniejszych trunków, przyjaciół. Do domu nigdy nie wracał pijany. Zbliżył się w tym czasie do kół „wschodznawczych” i do klubu „Prometeusz”. Nawiązał ścisłą współpracę z „Biuletynem polsko-ukraińskim” i dwutygodnikiem „Myśl Polska”. „Prometeusz” skupiał emigrantów rosyjskich, ukraińskich, gruzińskich i innych narodowości z Kaukazu i z basenu Morza Kaspijskiego. Poznał tam poetę ukraińskiego Jewhena Małaniuka, poetkę Natalę Liwycką-Chołodną. Tłumaczył ich wiersze. Przy współudziale poznanych Gruzinów podjął próbę tłumaczenia narodowej epeji gruzińskiej Szoty Rustawego „Wapchis Tkaosami”. Utrzymywał się z pióra i skromnej pensji kontrolera programów Polskiego Radia. W tej żmudnej pracy, wymagającej wielogodzinnego ślęczenia przy odborniku radiowym, wyręczała go żona, a on tylko przepisywał jej uwagi i sprawozdania.

WSTABILIZUJĄCE się życie poety wkroczyła wojna. „Dwudziestego siódmego dostalem wezwanie mobilizacyjne. Nie było mnie w domu, przychodził po południu i stróż, warszawski cieć, daje mi wezwanie. Zalałem sobie jeszcze parę telefonów, wsiałem w dorożkę i pojechałem do cytadeli. [...] Naszło się ludzi, wszystko w cywilu, nieumundurowani. Nic nie ma, kotła nie ma, można iść do restauracji. I tak mija dwudziesty ósmy, dwudziesty dziewiąty, trzydziesty, trzydziesty pierwszy. Zadzwoniłem do żony, że tu jestem. [...] I pierwszego rano zaraz eksplozje bomb. Wszyscy na plac, kupa mundurów, butów, owiązki, bielizny — każdy sobie wybiera na olaboga. Ubraliśmy się do magazynów po broń. Karabiny dostajemy bez pasów, amunicję — tak, i zwykłą i przeciwpancerną, granatów — nie, broni maszynowej — nie, hełmów — nie. Maski gazowe, chlebaki, a cała reszta — gdzie? Dalej, tam, gdzie pójdziecie. »A gdzie pójdziemy?« — »Nie wiadomo«. Późnym wieczorem pierwszego idziemy na Dworzec Gdański”. („Poezja”, 1988, nr 6, s. 24).

Okazało się, że pułk zapasowy, do którego został poeta wcielony, miał wzmocnić oddziały KOP na granicy słowackiej. Wyszli w Krakowie i przez Bochnię, piechotą, kierowali się w stronę Wisnicz, który był broniący przez Dziesiątą Brygadę Pancerną-Motorową pułkownika Maczka. „[...] widać niemieckie samoloty, jak krążą nad Wisniczem, rwą się dokoła nich obłoczki z pelotek... Mnie tymczasem w ciągu tych czterech dni mianowano demokratycznie kapralem. Kapral, który dowodził drużyną, powiedział: »Ty największy gadasz tutaj, to

ty bądź, ja nie chcę«. No więc demokratyczny kapral. Mówię do moich chłopaków: »Ja już mam dosyć tej harcerekiej wycieczki, jeżeli się tam dziesiąty pułk broni, to widocznie ma dowództwo, i broń — zresztą słyhać. Wy jak chcecie, ja występuję trzy kroki«. Cała drużyna poszła za mną, sąsiednia drużyna także, pluton”. (Jak wyżej).

W taki sposób poeta znalazł się pod dowództwem pułkownika Maczka. Szli przez Łańcut, Lwów, Przemyślany. Po otrzymaniu wiadomości o wkroczeniu w granice Polski wojsk radzieckich dotarli do Tatarowa i przekroczyli granicę węgierską. Tu, wraz z kolegami z jednostki, został rozbrojony i internowany, najpierw w obozie Topolce, a następnie: Nagy Kanizsa i Marakeresztur, skąd przedostał się do Francji. 10 listopada 1939 roku był już w Paryżu, Nawiązał kontakt z przybyłymi wcześniej poetami: Kazimierzem Wierzyńskim i Janem Lechoniem. Zaczął publikować wiersze powstałe pod wpływem przeżytej klęski w wychodzących w Paryżu polskich czasopismach.

W lutym 1940 roku został przez policję francuską aresztowany i osadzony w więzieniu. Według Ireny Szympowskiej („Poezja” 1988, nr 6, s. 15) powodem aresztowania Łobodowskiego było znalezienie przy nim ulotek pisanych w języku ukraińskim, a przeznaczonych do zrzucaenia nad Polską. Wydaje się, że wersję tę przekazał jej sam poeta w czasie przeprowadzonej z nim rozmowy w 1985 roku. Natomiast wed-



ług relacji Henryka Lipko (nagranie archiwalne w Muzeum J. Czechowicza) przyczyną aresztowania była nieco inna. Pan Lipko był w czasie wojny we Francji i spotkał się z Łobodowskim na jego wieczorze autorskim w Grenoble. Według powszechnie powtarzanej tam wersji, poeta po nieco bardziej zakrapianej czerwonym winem kolacji, wracał do swojej kwatery, ale nie zając jeszcze dobrze miasta, zablądził. Chcąc się upewnić, gdzie się znajduje, zapalił zapalniczkę, by odczytać nazwę ulicy. Obowiązywało już wówczas zaciemnianie miasta. Przechodzący policjant aresztował go za łamanie przepisów. W kręgach emigracyjnego rządu Łobodowski miał jeszcze opinię komunisty, więc nie spieszono się z interwencją, aby go uwolnić. W ten sposób przesiedlony w więzieniu do września. Po uwolnieniu znalazł się w obozie demobilizujących się wojskowych polskich w Notre Dame de Livron w okolicach Tuluz. Tam wydawał czasopismo „Wróćmy”.

ZTEGO obozu przyjechał do Grenoble na wspomniany przez p. Lipko wieczór autorski. Przywiózł ze sobą tomik „Z dymem pożarów” wydany w 1941 roku w Nicei w oficynie Tyszkiewiczów. Podobno większość zamieszczonych tam wierszy miała powstać w więzieniu. Były to więc okres niezupełnie stracony.

Egzemplarze tego tomu były sprzedawane na wieczorze autorskim po pięćdziesiąt franków, a uzyskane stąd pieniądze miały być przeznaczone na planowaną przez poetę przeprawę przez Pireneje, Hiszpanię, Portugalię, do woj-

ska polskiego w Anglii. Niestety, wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Wraz z towarzyszem został zatrzymany przez policję hiszpańską i osadzony w obozie w Figueras. W więzieniu przebywał do lutego 1943 roku.

„Pierwsze kilka miesięcy pobytu w więzieniu hiszpańskim w Figueras było dość nieprzyjemne z racji ciasnoty, robactwa, braku bielizny i podłego jedzenia. W połowie zimy poprawiło się, ale jesień dała się nam dobrze we znaki. Nam, to znaczy mnie i Zbigniewowi Kubińskiemu, młodemu zakopiańczykowi, który poszedł wraz ze mną do Hiszpanii. Zeby się nie dać, trzeba było uprawiać ostrą gimnastykę duchową i zabijać głód i zimno ciągłym wysiłkiem psychicznym. Kubiński uczył się więc po całych dniach obcych języków — ja smarowałem wiersze”. (J. Łobodowski, „Modlitwa na wojnę”. Noty, s. 104).

Po uwolnieniu osiadł poeta w Madrycie. Nie wiadomo, co skłaniało go po zakończeniu wojny do pozostawania w Hiszpanii, gdzie nie było początkowo ani silnego ośrodka życia emigracji polskiej, ani czasopism, w których mógłby publikować własne utwory. Zaczął pisać w języku hiszpańskim. W 1945 roku wydał książkę „Por nuestra libertad y vuestra”, a w roku następnym „Literaturas eslavas”. Dopiero w 1947 roku ukazał się w Londynie tom jego wierszy „Modlitwa na wojnę”. Większość zamieszczonych w tym tomie utworów powstała podczas pobytu w hiszpańskim więzieniu.

„Szukając więc w owym okresie możliwości wyładowania temperamentu dziennikarskiego, zacząłem układać długie poematy, dla których punktem wyjścia było zawsze konkretne wydarzenie lub zjawisko polityczne. [...] Tak więc dziennikarz, pozbawiony swego warsztatu pracy, ratował się od śmierci z nudów przy pomocy środków udzielonych mu przez poetę”. (Jak wyżej, s. 90).

WKRÓTCIE po zakończeniu wojny zaczął napływać do Madrytu zdemobilizowani żołnierze z armii Andersa. Otrzymywali stypendia na kontynuowanie studiów. Około stuosobowa grupa zaczęła kształtować środowisko emigracji. Z ich inicjatywy rozpoczęła w 1949 roku pracę polska rozgłośnia Radia Madryt. Józef Łobodowski był współorganizatorem programów tej rozgłośni i często występował na jej antenie. Wpłynęło to na zakaz publikacji w kraju jego utworów. Odpowiedzialnością za tę działalność obarczono, ówczesnym zwyczajem, żonę poety, która pracowała w lubelskim szkolnictwie. Wezwano ją do Kuratorium i postawiono ukłamywane żądanie. Jeśli chce pracować w szkole, musi zmienić nazwisko. Na mocy Sądu Okręgowego w Lublinie z 9 czerwca 1950 r. Nr IC 289/50, małżeństwo zostało rozwiązane.

Nie wiadomo, czy Łobodowski został o tym powiadomiony. W każdym razie do końca życia uważał się za żonatego.

W dalszym ciągu przebywał w Madrycie. Od czasu do czasu wyjeżdżał do Francji i Anglii. Oprócz współpracy z radiem zajmował się publicystyką i twórczością literacką. Nie była to jednak twórczość intensywna. Dopiero w 1954 roku ukazują się dwie kolejne jego książki: „Uczta zadżumionych” i „Złota hramota”. Obydwie wydane w Paryżu. „Uczta zadżumionych” zawierająca satyry i fraszki, została wydana własnym nakładem. Pod względem artystycznym ustępuje poprzednim tomom wierszy.

Znacznie ciekawszy jest tom „Złota hramota”. Zebrał w nim poeta swoje wiersze i poematy o tematyce ukraińskiej pisane od lat trzydziestych. Propagował w nich idee przyjaźni i zbliżenia dwu sąsiadujących ze sobą, ale mocno zwaśnionych narodów. Występował w tym tomie jako kontynuator romantycznej szkoły ukraińskiej. Opiewał kozacką nieujarzmioną naturę, piękno stepów Ukrainy oraz melancholiję Wołynia i Polesia.

(cdn.)

Dr Józef Zięba, absolwent polonistyki KUL (1955), dyrektor Muzeum Im. J. Czechowicza w Lublinie (od roku 1967).

SZEW CZYKOWIE zestarzeli się, pochorowali, więc nóż był na gardle: albo ziemię weźmie państwo, albo najmłodszy syn — Bogdan. Wziął Bogdan, który nie zdążył, jak piątka starszego rodzeństwa, zainstalować się gdzieś w świecie. W osiemdziesiątym trzecim skończył technikum rolnicze i zaraz się ożenił. Miał więc własną kobietę i własną ziemię, a przed sobą — zachęcająco podświetloną przez zielone światło — perspektywę życia na roli.

Teraz jest tak: poszłabym w świat jak stoje, mówi Barbara, żona Bogdana. A Bogdan nie mówi nic, bo co ma powiedzieć, skoro sam ją do Rudna ściągnął. Poznali się w pegeerze, gdzie on był na szkolnej praktyce, a Barbara na stażu. Ona: mieszkanie obiecują za dwa lata, czas pracy normalny, to zostanę. On: pegeer to pegeer, na swoim jesteś niezależna, szybciej się

kańców to reńsiści i dwuzawodowcy: dwa hektary przy domu i praca w mieście. A są i tacy, co laską się podpierają, a próbują jeszcze utrzymać się na placówce. Ostatkiem sił. W całej gminie Michów około czterysta hektarów leży odlegiem w Państwowym Funduszu Ziemi. I czeka na chętne ręce, najchętniej — młode, silne i ciepłiwie. Ale młodzież ma gdzieś rodzinne sentymenty i zwiewa, byle dalej od gnoju i rolniczego znoju. Dziewczyn brakuje, a kawalerowie starzeją się i gorzkniejają jak, na przykład, pan Janek. Porządne chłopisko, z dobrej rodziny, gospodarz przykładny. I budynki nowe, i pełna mechanizacja. Czterdziestka sztuk i co? I nic. Żony ze świecą szukają. W Rudnie wielu takich, co dumają: kto im na stare lata szklankę wody poda w chorobie? A od jednego to nawet żona uciekła... Ponoć harówki wytrzymał nie mogła, Bogdan się nie dziwi. Państwo

tuje wełnę po dwanaście dolarów za kilogram, harówka nie opłaca się rolnikowi. A jeszcze do tego nie ma nowoczesnej owczarni. Owce cisną się w niewielkiej wiacie. Na budowę brakuje pieniędzy. Wprawdzie wziął Bogdan te dwa miliony złotych za produkty w ubiegłym roku, ale pieniądze rozeszły się tak: sto tysięcy poszło na nawozy, tyle samo na ropę, sto dwadzieścia na podatek, na środki ochrony roślin i paszę — po jakiejś sześćdziesiąt, a jeszcze koszt amortyzacji maszyn i usług — po sto tysięcy. Reszta na trójkę dzieci i długi w banku. Więc owczarni nie będzie.

Nieprędkiem też będzie nowy dom. Chyba, że Bogdan sam zrobi gipsowe pustaki. Zrobił już jeden, na próbę, ale potrzeba ich sześćset. Prawie czterysta tysięcy poszłoby na sam gips, ale to i tak taniej, niż gdyby kupować gotowe. A dom to rzecz ważna.

nowy, kolorowy, za który trzysta tysięcy dali w zeszłym roku. Ten telewizor jest za czośnek. Czośnek się opłaca, więc Bogdan go sadi. Rodzeństwo z miasta też do udziału dopuszcza. Ale na zdrowy rozum, zastanawia się, czy nie lepiej, żeby wsi opłacała się produkcja mięsa, zboża i mleka zamiast badyli? Rząd nie docenia wartości ziemi, wnieskuje Bogdan, wszystko w tej polityce rolnej przewracane. A przecież prawda jest jedna: węgiel i inne surowce kiedyś się skończą, a ziemia jest i będzie zawsze. Ale chłop musi w nią ciągle inwestować, żeby rodzila. Musi dawać nawóz, a w obróbce pomagać sobie lepszymi maszynami. A jak tu inwestować, gdy o sprzęt trudno, jest coraz droższy i gorszy?

I podatki większe. Na skupie wprawdzie ceny wyższe, ale chłop wiele nie odłoży. A kto nie unowocześnia swo-

MŁODZIEŻ MA GDZIEŚ RODZINNE SENTYMENTY I ZWIEWA, BYLE DALEJ OD GNOJU I ROLNICZEGO ZNOJU CO SIĘ TROCHE POPRAWIŁO TO SIĘ ZARAZ POPSUŁO

Ewa Czerwińska

dorobisz. Ona kusila, ale on miał nóż na gardle: te osiem hektarów w Rudnie, które nie mogły już dłużej czekać.

Dlaczego Bogdanowi nie podobał się pegeer? Przede wszystkim dlatego, że widział jak się tam pracuje. Tak, aby był zawsze czas „skoczyć do monopolu i dać sobie w żyłę”. Toteż szybko przestał się dziwić, że żyto sypie tylko jedenaście kwintali z hektara. Te jedenaście kwintali to była urzędowa norma, dlatego nikt się tym ani nie przejmował, ani nie zamierzał podnosić wydajności. Ale jemu norma się nie podobała. Po miesiącu praktyki on i inni koledzy praktykanci usłyszeli od dyrektora: panowie, byliście najlepszymi pracownikami w pegeerze. To wystarczyło, żeby wynosić się czym prędzej na swoje.

Dom w Rudnie jest stary, drewniany, jeszcze z czterdziestego ósmego. Młodzi zajęli kuchnię i jeden pokój, a w drugim ulokowali się dziadkowie. To prawda, kłótni o garnki nie było, gdyż Barbara przezornie wniosła w posagu swoje. Ale z gospodarowaniem na polu było już inaczej. Młody mówił, że trzeba siać tu, stary — że gdzie indziej. Normalnie, mówi Bogdan, starcie pokoleń. Przeleciało jak wiatr.

Z początku szło dobrze. Dostał Bogdan przydział na ciągnik, zgodnie z tym zielonym światłem, co obiecywało wsi dostatek sprzętu. Dokupił też inne maszyny: przyczepę samozbierającą do siana, plugi, rozrzućnik obornika. A jak mechanizacyjnie się poprawiło, to dokupił pole. Pięć hektarów od Kozieja, sąsiada zza miedzy, który był stary i nie dawał już rady. Miał wprawdzie Koziej siedmiu synów, ale pocieszenia z nich żadnego. Synowie wyrzekli się ziemi bez zająknięcia i bez żalu. Dlatego pole wzięło państwo, a stary dostał rentę.

Ziemia, zanim kupił ją Bogdan, przez rok leżała odlegiem, marniała. Koziej nie potrafił tego przeboleć. Nawet inną drogą jeździł, żeby nie patrzeć. Ale raz nie wytrzymał. Bogdan widział jak sąsiad jeździ z plugiem na to pole i zaczyna crać. Zorał parę skib i dalej — już nie. Nie wolno. Ta ziemia przecież nie jego. Ale choć trochę zruszył, bo nie mógł ścierpieć, że wiosna, słońce, a na polu zimowa skorupa. Bogdan to rozumie.

Koziej to starość. A starość to wielki problem na wsi. W takim Rudnie, mówi Bogdan, prawdziwych rolników na palcach obu rąk policzyć. Tu, na kolonii parę, kilku we wsi. Większość miesz-

sobie na taką wieś zapracowało. Przez lata, konsekwentnie. Co się trochę poprawiło, to się zaraz jeszcze więcej popsuło.

OCZYWIŚCIE najgorzej było za okupacji i za Bieruta. O tych czasach stara Szewczykowa powiada: jak niewolnik ten chłop pracował. Natyral się, a wziął tyle, co kot napłakał. Nic, tylko kontyngenty i kontyngenty... Na buty dla dzieciaków nie zostawało. A kierat, przypomina Bogdanowi, to ojciec od szwagra z Podlodówka pożyczął, bo nie było skąd wziąć te tysiąc dwieście złotych na własny. Dopiero Gomulka ulżył, ale też, pani kochana, chłop za bardzo nie podskoczył. A dalej — na przemian: co trochę ulgi, pieniędzy i zadowolonia na wsi, a na sklepowych półkach w mieście więcej dobra, to zaraz — chłop w łeb. W Polsce nikt nie przejmuje się tym, co będziemy jeść, dodaje Bogdan. Nikt oprócz rolnika. Bo chłop to chłop i władza uważa, że on wszystko przetrzyma. Na swoim przecież robi, to mu zależy. A państwo korzysta: wysie, wydać, a potem udaje, że lud wiejski jest bardzo ważny. Tak mu się rząd podlizuje. Wie, iż chłop nie zastrajkuje, to sobie pozwala. Z tego, zdaniem Szewczykowej, i miasto głodne, i wieś niezadowolona. Więc co to za mądrość? — powątpiewa Bogdan.

Jak przejmował ziemię, to akurat trzeba było na gwałt półki sklepowe zapelnąć. Zapaliło się światło, ale już po dwóch, trzech latach, opowiada Bogdan, jakoś niewiele zaczęło mu się opłacać. Może tylko te owce? W osiemdziesiątym trzecim wziął z banku sześćset tysięcy pożyczki, którą spłaca do dziś, i założył hodowlę. Stado zanodowe. Wtedy jeszcze kalkulacja była taka: za jeden kilogram wełny można było kupić sto kilo żyta. Dziś tylko sześćdziesiąt. No to gdzie, pyta Bogdan, ta opłacalność? A trzeba przecież narobić się przy stadzie. Owca jak zdrowa, to w porządku. Ale jak zachoruje, to często rańtku nie ma.

Janki, te młode, Bogdan sprzedaje po siedemdziesiąt tysięcy za sztukę. Co może nie jest tak mało, ale na pewno nie wystarczy za pracę i paszę. Jak są wykoty albo trudno wydebić karmę, to wolałby sprzedać wszystko: zboże, ziemniaki, siano, wtedy i tak miałby więcej, niż za te owce. A ileż mniej roboty. Więc jak sprzedam te owce, twierdzi Bogdan to zostaje mi akurat g... I to gówno, ten obornik, niezbędny, żeby produkować, to zysk największy.

Ale wkrótce, powiada, zmniejszy stado. W kraju, który tak lekko impor-

I jak widać na zdjęciach — bardzo fotogeniczna. Na nich — dom Tadeusza, starszego brata, tego co mieszka w Supraślu. Dokumentacja fotograficzna każdego etapu — od fundamentu po dach. Bogdan mówi, że nie zazdrości, ale mu nie wierzę.

DOM Szewczyków to jeszcze nie za bytek, stoi parę kroków dalej, w głębi podwórka. To drewniany spichlerz sprzed Powstania Styczniowego. Dziad starego Szewczyka kupił go w czasie parcelacji majątku w Rudnie i przeniósł na swoje podwórko w Podlodówku. Spichlerz stał tam do czasu, gdy ojciec Bogdana zdecydował się znieć w Rudnie. Wziął ten spichlerz w posagu. Patrzy pani, jaka to solidna robota, mówi Bogdan, pokazując, jak działa z górą stuletni zamek w mocnych jeszcze drzwiach. Jak to się wszystko kupy trzyma. Teraz kupisz maszynę, nachodzisz się za nią, naprosisz, porównuje Bogdan, a zaraz ci się rozlatuje.

Gospodarstwo Szewczyków widać z drogi, która łączy wieś z kolonią. Droga jest piaszczysta, zwyczajna, polna. Jesienią błotnista, zimą zawalona śniegiem. Chodzi się po niej do sklepu, do szkoły, i lekarza. Dwa kilometry. Odludzie. Tak nazywa Barbara kolonię. Która głupia, mówi do Bogdana, by cię choila?... Jeszcze do tego ta woda. Ile wiader idzie codziennie na pranie i zmywanie po trójce dzieciaków, to sama wie najlepiej. Zrobili kran w kuchni, podłączyli wodę, ale odpływu jeszcze nie ma. Trzeba pilnować kłuba, żeby się nie przelało. Taka prozaworka. Niby leży. Ale czy to taki wielki powód do szczęścia, pyta Barbara, w końcu dwudziestego wieku? Sama wprawdzie z gospodarskiego domu, z hektarów, ale tam były wszystkie wygody. Więc nie może się ja-koś przyzwyczać.

Barbara wkurza się, że jak ktoś przyjedzie z miasta, to się zachrywa: ależ wy tu macie dobrze. Dobrze to jest w mieście. Przyjdzcie się z pracy, zamieni buty na kapcie, no i za sto-dolę się nie lata. Woda — to drugi, po starości, wiejski problem. Poziom w gruncie obniża się. Za to jest nadzieja na gaz. Przez gminę przeleci gazociąg do Lubartowa. Może Rudno się zalapie, mówi z żalem Barbara, ale kolonia już nie. Nie po drodze.

BARBARA pracuje w WOPR. Od grudnia Do ludzi ciągnęło, mówi, no i przednowek. Bogdan przytakuje, że owszem, przednowek był jednym z powodów żoninej fanaberii. Gdy Barbara jest w pracy, on pilnuje dzieci. Rano za niankę robi telewizor. Mają

jego gospodarstwa, ten się cofa. Starzy Szewczykowie są ciekawi, czy są ludzie w rządzie, co pochodzą ze wsi. Bo jakby byli, to wiedzieliby, że człowiek dla samych sentymentów, przywiązania i tradycji pracować nie będzie. Mówią w telewizorze, dodaje, że wszystko niby od człowieka zależy, od przedsiębiorczości. A chłopu zwyczajnie życie się utrudnia. Bo tak: zamiast zajmować się rolnictwem, musisz zajmować się załatwianiem. Wystajesz w kolejkach, wypytujesz o dostawy, na wieś — przywieźli!, rzucasz wszystko i lecisz. Takie nawozy — ważna rzecz. A dają po trzysta kilo. Bogdan parę razy musi w kolejce obrócić, żeby zdobyć te dwie tony. Wszystko dlatego, że się za mało produkuje.

Barbara zna problem od innej strony. Jako instruktorka WOPR jeździ po wsiach i podpowiada rolnikom — jakich środków ochrony roślin używać i nawozów, żeby zwiększyć plony. Propaguje, ale to jest propaganda sukcesu. Bo zarówno nawozy jak i opryski trudno kupić. I jest nieporozumienie. Ludzie na wsi, opowiada, są zrygnowani. Im większe obietnice rządu, tym nieufność większa. Chłop tyle razy przewracał się na obietnicach, że tak łatwo w lepszą perspektywę nie uwierzy. Teraz wyciekuje. Stabilizacji. Nigdy przecież nie wiadomo, czego się trzymać. Co do tego, co przyniesie zysk, nigdy nie ma pewności.

Gdyby teraz jakiś młody chłopak zapukał Szewczyków: zostań na wsi czy nie, odpowiedziliby, że nie ma po co. Chyba, że przejąłby nowoczesne, zmechanizowane gospodarstwo. Start od zera nie ma dzisiaj szans. Nie ma szans żadnych — i nie ma żadnej satysfakcji. A to zadowolenie, mówi Bogdan, jest w każdej pracy potrzebne. On raz je ma, a raz nie. Raz rzuciłby to wszystko, byle tylko się nie oglądać za siebie, a znów innym razem — szkoda. Barbara jest zdecydowana: zwać do ludzi, przynajmniej przenieść się z kolonii do wsi. Rolnik przywiązany jest do gospodarstwa jak pies do łańcucha, gasi ją Bogdan, za wszystko nie podskoczysz.

Są młodzi, więc ciągnie ich do świata. Kiedy mieli syrenkę, to mogli wyskoczyć w Chełmskie, do rodziny Barbary, albo do Lubartowa. Raz tylko byli na wczasach w Polanicy. Tydzień. Na wsi rozrywka nie ma. Ani klubu, ani nic. Remiza strażacka z dziesięć lat się buduje. A talk? No talk. Zostaje telewizor. A wie pani, mówi Bogdan przy kieliszku czerwonego wina, którego pod dostałkiem w miejscowym sklepie, że ja też miałem pójść w świat? Zawsze chciałem zobaczyć chiński mur, piramidy, glinska.

SPOGLĄDAM na pozółkłe zdjęcie, które wykonał prawdopodobnie przygodny fotograf: trzy dzwony i trzech mężczyzn we wnętrzu wiejskiego kościółka. Symbol? Poświęcenie dzwonów? Pożegnanie? Nie wiem. Znalazłem je pośród wielu dokumentów, i pamiątek, które przynieśli do gminnej biblioteki mieszkańcy podlubelskich Niemiec w ramach konkursu: „Gromadźmy i upowszechniamy dokumenty życia społecznego”. Z pomocą kierowniczej tej placówki próbuję ustalić czas i miejsce wykonania fotografii.

— Wie pan — mówi pani Grochowska — ludzie przynoszą mi różne rzeczy; stare carskie papiery, oznaczenia wojskowe, listy. Mam wśród tych staroci dyplomik Milicji Niepokalanej, podpisany własnoręcznie przez ojca Maksymiliana Kolbe. Jest też dokument sygnowany nazwiskiem Sławoja-Skladkowskiego. ...A to zdjęcie? Nie zdążyłam jeszcze wszystkiego uporządkować, opisać. Wiem jednak, że było

W NĘTRZE wiejskiego kościółka: trzy dzwony i trzech mężczyzn. W tle — prezbiterium, odgródzone od reszty kościoła niską balustradą i ambona, z której głosił swe kazania ksiądz-chłop. Dzwony, przystrojone kwitnącymi kaskadami, musiały czekać na lepsze czasy. Aby mogły dzwonić nie na trwogę, lecz na Święto Zmartwychstania. A ludzie?

— Wie pan — wrywa mnie z zamyslenia pani Grochowska — ten organista też już umarł. Ale żyje jeszcze ksiądz Michalski. Mieszka teraz w Zamościu i niedawno obchodził 50-lecie kapłaństwa. Może on powie panu coś więcej?

Może?

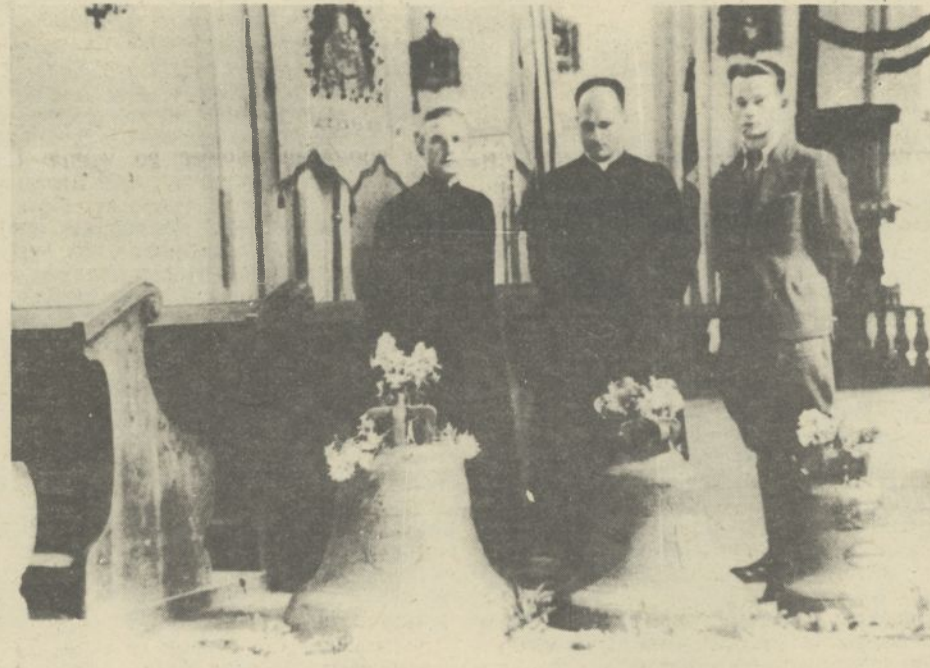
JADĘ więc do Zamościa na spotkanie z dawnym wikarym parafii we wsi Niemce. Jadę i zastanawiam się, czy rozmowa z nim będzie w ogóle możliwa; zdjęcie zostało przecież wy-

rodzinnej parafii ksiądz Michalskiego. Z Piasków, w których się znaleźli po kilku dniach podróży, przygodnie poznany chłop dowodzi ich na miejsce. W Uhaniach dowiadują się, że rektor KUL, ksiądz Szymański, prosi wszystkich studentów o powrót na uczelnię. Odwiedza więc rodzinę w Gliniskach i wraca do Lublina. Tam przez krótki okres, w małych pokoikach z oknami pozabijanymi deskami, odbywają się wykłady.

— Zbliżała się uroczystość świętego Stanisława Kostki. — Wspomina ksiądz Michalski — siedzieliśmy przy obiedzie, pamiętam — pierożki z grzybami i czerwonym barszczem wtedy były, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł ksiądz Jędruszek. „Mietek — powiada, bo znaleźliśmy się jeszcze z Gimnazjum Biskupiego, które on zaopatrywał w prowiant — jedź ze mną do Niemiec. Nic tu po tobie”. Uzyskałem pozwolenie księdza Wojsy, dyrektora naszego konwiktów, i razem wyruszyliśmy w drogę. W ten sposób uniknąłem późniejszego aresztowania wszystkich księży przebywających na KUL.

Ksiądz Michalski uczy dzieci religii i pomaga księdzu Jędruszkowi w zarządzaniu parafią. Dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego łatwo nawiązuje dobrosąsiedzkie stosunki z Niemcami mieszkającymi na plebanii. Te kontakty zapewniają obu księżom bezpieczeństwo, ale i umożliwiają pomoc leśnym w zdobywaniu broni i amunicji.

— W dobrach hrabiny Łosiowej pod Jawidzem — ciągnie swą opowieść ksiądz Mieczysław — znajdowała się gorzeźnia, z której zarządca Tyrankiewicz dostarczał nam wódkę. Matka proboszcza Jędruszaka przyprawiała ją miodem i tym specjalnie raczyliśmy Niemców zjeżdżających na plebanie. Po takich ucztach można było z nimi załatwić niejeden interes...



Repr. Waldemar Stępień

Uśmiechnięty i pełen życia staruszek prowadzi mnie do gabinetu dyrektora Caritasu. Ciszę zalegającą pokój przerywa ciepły, lecz donośny głos księdza Michalskiego:

— Więc powiadasz synku, że chciałbyś o wojnie... — Ksiądz pochylił się nad pozółkłą fotografią i uważnie się jej przygląda. — Trudno tak w ciągu godziny, czy dwóch, opisać całe życie. Jak bym ci synku powiedział, że poświęciłem je Bogu i ludziom, to byłby chyba najkrótszy życiorys jaki słyszałeś. Ale spróbuję. Tylko nie wiem, od czego zacząć...

— Najlepiej od Adama i Ewy — wtrąca Krzysztof Radziejewski, dyrektor zamojskiego Caritasu, przysłuchujący się naszej rozmowie.

— Przyszedłem na świat — rozpoczyna swoje curriculum vitae ksiądz Michalski — piątego stycznia 1912 roku we wsi Gliniska, gmina Uhanie, powiat Hrubieszów...

W 1938 roku Mieczysław Michalski kończy Seminarium Duchowne w Lublinie i rozpoczyna studia w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wojna zastaje go na wschodzie Polski, gdzie przebywa na wakacjach u swego przyjaciela. Opuszcza pośpiesznie dawne dobra Radziwiłłów i przez Równe, po ośmiogodzinnej jeździe pociągiem, dociera do Lublina. Stamtąd, razem z księdzem Panasem, wyruszają do Uhan-

WJAZDU do wsi strzeże kościół polskokatolicki, wyjazdu rzymskokatolicki, a pośrodku przemieszkuje cicho świadkowie Jehowy. Czy to odprysk dawnej, wielowyznaniowej Rzeczypospolitej? Eksperyment polskiej tolerancji? Szczególne rozwichrzenie duszy?

Koszarzew, wieś oddalona o dziewięć kilometrów od Bychawy i ponad trzydzieści kilometrów od Lublina jest pięknie rozłożona wśród łagodnych wzgórz, nad głęboką kotłową, w której biegnie droga. Gdyby ktoś zakładał wszakże, iż te naturalne walory zostały tu w jakiś szczególny sposób wykorzystane, żywiłby złudzenia. Łaska, choć przyrody nie czyni z Koszarzewa szczególnego miejsca na ziemi. To ów wyznaniowy tygiel określa wyłącznie specyficzną liczącą bez mała tysiąc dusz społeczność. Poza tym bowiem, wieś nie różni się niczym od innych. Uciekają stąd młodzi, marnieją gospodarstwa, płoty i chałupy pochylają się pod brzemieniem czasu, z obejść ścieka do przydrożnych rowów gnojówka. Brak jest kanalizacji, ośrodka zdrowia, przekonania soltysów do estetyki (Koszarzew podzielony jest na trzy sołectwa). Zbudowano za to piękny Wiejski Dom Kultury, remizę strażacką i dwa nowe, czesne, choć świeżące od dawna gólmij półkami sklepy. Jest, rzecz jasna także szkoła — przepaścisty, przedwojenny budynek (1937 rok), po którym hula garstka dzieci. To nie miejski, trzyzmienny kombinat, a jednak w sprawy wychowawcze społeczność nauczycielska ingeruje słabo. Na ofertę współdziałania w tym względzie z proboszczem polskokatolickim, dr. Jerzym Bajorkiem, pedagogy odpowiadają, że od wychowania jest dom. Tymczasem koszarzewianie wcale nie stronią od kieliszka, „są zawistni, pozabawieni energii, kłótlivi” — jak powie mi dyrektor szkoły, Mirosław Machnik.

Trudno schronić się w Koszarzewie przed biciem takich i cwaliących dzwonów, przed chóralnym śpiewem czy religijną indoktrynacją. Wydawałoby się więc, że grzech nie atakuje tu człowieka z równą co gdzie indziej pasją. Życie nie toleruje wszakże takich prostych związków. Chrześcijańcami bywają Polacy zwykle od święta.

Świadkowie Jehowy odbiegają od tej normy. Swoje dziewczyny trzymają w domach, z dala od polku choćby wudekowych dyskotek, czytają kolorowe broszury drukowane w RFN, na każdą okazję mają stosowny cytat z Pisma — swoim życiem dają świadectwo własnej prawdzie. Są cisi, pracownicy i gospodarni. Na wybory nie chodzą, unikają wszelkich masówek, ale gdy trzeba coś zrobić wspólnymi siłami, nie odmawiają pomocy. (Gdyby nie oni, lubelski stadion Motoru do dziś ziałby liszajami odrapanych trybun). Tworzą najmniejszą koszarzewską wspólnotę — trzynastu osób. Ich zbór nie ma widomych oznakowań, ich starsi nie noszą liturgicznych szat, trudno do nich dotrzeć, choć łatwo z

ZWYCZAJNA HISTORIA

Zbligniew Dzieciątek

zrobione w naszym kościele, w Niemcach, podczas wojny. Ten człowiek w środku, to ksiądz Władysław Jędruszek, dawny proboszcz naszej parafii. Już nie żyje. Nazwiska drugiego księdza i tego w oficenkach nie znam. Ale jeśli panu zależy, mogę porozmawiać z ludźmi. Na pewno pamiętają.

Tydzień później znowu przyjeżdżam do Niemiec. W bibliotece witam się z panią Jadwigą.

— Ustaliłam nazwiska dwóch pozostałych osób na zdjęciu — mówi i wyciąga swoje notatki. — Rozmawiałam z ludźmi. Ten młody ksiądz to Mieczysław Michalski. W czasie wojny był wikarym w tutejszej parafii. Cywil w oficerkach nazywa się Stanisław Ignatowicz. Tutejszy organista, ale gdzieś w 1943 roku wyjechał. Na tej dacie kończą się jego zapiski w kościelnych księgach.

Zaferowana kobieta próbuje z fragmentów rozmów odtworzyć wydarzenia, opowiedzieć o ludziach, którzy patrzą na mnie z fotografii. Ksiądz Jędruszek był w Niemcach proboszczem od 1934 roku aż do śmierci, w latach 50. Mówiono o nim ksiądz-chłop: energiczny, bezpośredni, jednak nie zachłanny. Jak trzeba było, to i dobre słowo powiedział i radą wspomógł. Ale potrafił też do piwnicy zenknąć, w chałupie po kątach się rozzejrzeć czy posprzątać. Zbysztać, jak zastał nieporządku chodząc po kołędzie. Ludzki był, jak zgodnie twierdzili starzy mieszkańcy.

Przystojny chłopak, Staś Ignatowicz, był ulubieńcem proboszcza. Ponoć smałał cholewki do córki tutejszego gospodarza — Stachury. Wszystko było w porządku, dopóki posażna i ładna panna nie poczuła, że jest w odmiennym stanie. Czy przyczynił się do tego młody organista? Nie wiem. Nie ożenił się jednak ze Stachurówną, a z początkiem czterdziestego trzeciego wyjechał z Niemiec...

— Nie wiem czy pana to interesuje — mówi bibliotekarka — ale tego młodego wikarego niektórzy nazywali księdzem-komunistą. Jak wracał z kołędowania, to ksiądz Jędruszek zawsze go pytał: „Wyszedłeś Mieczu na zero, czy dołożyłeś z własnej kieszeni?”. Nigdy nie wziął pieniędzy od biedaków, a że wtedy, podczas wojny, nikomu się nie przelewało, więc często zamiast brać — dawał. Ot, i cały komunista.

Obaj księża starali się pomagać ludziom. Dzięki temu, że na plebanii mieszkali niemieccy oficerowie, z którymi proboszcz Jędruszek utrzymywał dobre stosunki, udało się wiele osób uchronić przed przymusowymi robotami w Niemczech, ostrzec przed aresztowaniem. W maju 1941 roku, tuż przed uderzeniem hitlerowców na Związek Radziecki, ksiądz Jędruszek dowiedział się od jednego z kwaterujących Niemców, że dzwony kościelne mają być zdjęte i wywiezione. Spuszczono je w pośpiechu na linach i ukryto. Na stację odwieziono kupę żelastwa, które chłopcy pościgali ze swoich gospodarstw. Zdjęcie pozostało niemy świadkiem tych wydarzeń.

LISTY

Szanowna Redakcjo!

Wyrażając aprobatę dla przyjętej formy i treści Waszego Tygodnika (z wyjątkiem za niskiej ceny, kto Was będzie dotował?) oraz życząc wielu sukcesów zawodowych całemu zespołowi redakcyjnemu, w załączeniu przesyłam mój list otwarty do p. minister zdrowia z propozycją opublikowania go właśnie w Waszym piśmie. Cieszę się, że macie zamiar redagować pismo „aktualne i odważne”. Gdybyście jeszcze potrafili pozostawić na drugim planie propagowanie aktualnej linii rządowo-decydenckiej, a kierowali się głównie własną zdroworozsądkową oceną sytuacji — powodzenie u czytelników (o imnie dbać naprawdę nie warto!) zapewnione!

Za oknem zaczyna padać deszcz. Krople na szybie pojawiają się i znikają jedna po drugiej.

JEST W MIESZKAŃCACH TEJ WSI JAKIŚ BŁYSK POGODY I DOBREGO SŁOWA

TYGIEL

Wiesław Horabik

nimi rozmawiać. Trzy razy w tygodniu zbierają się na modlitwie i dyskutują o Słowiu. W dni szczególnie uroczyste ich gromadkę wspierają współwyznawcy z pobliskich wsi. Dzwony, z usytuowanego naprzeciw kościoła rzymskokatolickiego, wciskają się wówczas w monotonny chór głosów. „My już przywykliśmy — mówią członkowie Kosarzewskiej wspólnoty — tylko kłob z zewnątrz czasami się zachnie. Z księdzem Kielbasą trzymamy nawet po sąsiedzku pole”.

Zdawkowe to sąsiedztwo, ograniczone do rutynowego „dzień dobry”. Teologicznych dysput ksiądz nie podejmuje, zakazuje tego również swoim parafianom. „Nie wyganiajcie ich — powiada — ale nie słuchajcie tych bredni”. Do państwowych mass-mediów jest ksiądz Kielbasa nastawiony nieufnie; by zgodzić się na wypowiedź dla „Relacji”, żąda pełnomocnictwa od biskupa. Prawda, że społecznik z niego zawołany; ostаточно doprowadził do pobudowania drogi tam, gdzie nawet Urząd Gminy okazał się niewładny. Jego kościół jest najpiękniejszy spośród trzech Kosarzewskich świątyń (czwartym „wyznaniem” byłiby ateści, ale: „to margines, drobni pijaczkowie i wicherzyele. Jeśli ktoś z porządnych ludzi nie wierzy, nigdy się z tym nie wychyli. Społeczność by go zjadła”). Ksiądz Kielbasa jeździ volkswagenem, podczas gdy ksiądz Bajorek małuchem, a sekretarz POP, jak Bóg przykazał — ladą.

WIELOWYZNANIOWOŚĆ przenosi Kosarzew w perspektywę rzeki Potomac i zielonych preri Wyoming. — Jak w Ameryce ciąży tu nad duchownymi szczególnie obowiązek zabiegania o wiernych. Każde uchybienie może zasilić konkurencję. Kościół polskokatolicki nie strzela jeszcze w niebo tak wysoko, jak jego rzymski konkurent: w czasie gwałtownej burzy przed trzema laty stracił część dachu, ale ksiądz Bajorek już ułożył fundamenty pod nową świątynię. Choć na razie w formie rysunków budowlanych, obiecuje ona wiele. Daje na-

dzieję, że wkrótce społeczność narodowa będzie mogła skutecznie odierać zarzuty o rzekomo potęgającej się pauperyzacji wspólnoty.

W Kosarzewie nie ma wojen religijnych, nie organizuje się krucjat, każdy sięga po duchową strawę tam, gdzie mu nakazuje serce, a czasami po prostu tam, gdzie najbliższej. Zdarzają się jednak spektakularne konwersacje. Jeden z „nawróconych” nie tylko sam zmienił wyznanie, lecz wciągnął w to swego nieżyjącego już syna, przenosząc go z omentarza narodowego na rzymski. Coraz więcej młodych przemyka ostatnio na drugi koniec wsi. Kościół księdza Kielbasy przeżywa teraz tłuste lata. Ma papieskie i państwowe błogosławieństwo, jego akty (chrztu, ślubu, zgonu) nie budzą niczyich podejrzeń.

W okresie delegalizacji kościoła narodowego około trzydziestu Kosarzewian formalnie nie istniało. Nie honorowano żadnych wpisów do ich ksiąg parafialnych. Podczas okupacji wędrowali na Majdanek, już wcześniej unicestwieni przez rodaków! Podział wiernych według niegdysiejszej zasady fifty-fifty już dawno nie obowiązuje. Dziś ksiądz Bajorek traci parafian. Zmieniły się warunki, które nakreślały polskokatolicką koniunkturę.

Przed wojną należał Kosarzew do parafii rzymskokatolickiej w Bychawie. Narodziny kościoła polskiego miały podłoże wybitnie społeczne. „Międzywojenna specyfika Lubelszczyzny — mówi ksiądz Bajorek — to głębokie przeludnienie, nędza i bieda ludzka. Wysokie opłaty za usługi w kościele rzymskokatolickim, nie zawsze do końca wyczułone oko na niesprawiedliwość społeczną, skłaniały ludzi do szukania kontaktów z bardziej ewangelicznymi sposobem bycia duchownych. Znajdowali go w naszym kościele. Nie bez znaczenia była także liturgia w języku polskim, prostota i surowość naszych świątyń”. Dziedzic Cyprian Turoniński nie był bigotem — nie przeszkadzał. I tak najpierw po-

domach, potem w gospodarskiej szopie pęczniała społeczność polskokatolicka.

„Ja tam wierzę, tak jak moi ojcowie — mówi jeden z rolników — Bóg sam porodził ludzi. Czy dlatego mają się brać za łby?”. „Ludzie nie zabijają się z powodu religii — powie drugi. — Ot, czasami tam w gniewie sobie wypomną. Ale to nieważne. Kłopot bywa tylko wtedy, jak pokochają się młodzi z różnych kościołów. Ślub może być przecież jeden. Siadają wtedy przy «okrągłym stole» i dumają. Kto jest silniejszy, ten przekona drugiego”.

Świadkowie Jehowy nie przeżywają podobnych dylematów — ziemia się między sobą. Jedynie śmierć zmusza ich do głębszego kompromisu. Jehowi nie posiadają własnego omentarza. Czekać wszakże na rychły koniec świata, po którym na ziemi zapanuje raj, a znantychwstaną nie tylko dusza, lecz i ciała — nie cierpią zbyt dotkliwie. Czasowe przemieszkwanie zmarłych w ziemi poświęconej przez „niewiernych” widzą jako prostą konieczność.

Specjalnym podkreśleniem Kosarzewskiego statusu quo są inicjatywy społeczne. Wbrew bowiem pesymizmowi dyrektora szkoły, mieszkańcy wsi, pobudzeni i poprowadzeni przez kogoś energicznego, potrafią być ofiarni. Wówczas z obu ambon, a podejrzewam, że i z tej trzeciej symbolicznej, pastere odwołują swę owieczki zgodnie do sekretarza partii, który organizuje robotę. Ma siłę przebicia. Tak zrealizowano wszystkie wymienione już obojętne społecznej użyteczności. Do społeczników miał zresztą Kosarzew zawsze szczęście. Przed wojną działał tu inżynier Sadkowski, a dziedzic Turoniński biedotę leczył za darmo (ponoć w imię przysięgi złożonej pod Kijowem bolszewikom w zamian za darowanie życia). Jego ziemi nie chcieli chłopcy parcelować po wojnie i to wcale nie ze względu na „pokaramie boskie”, a z przekonania prostego, że byłaby to krzywda. Dziś duszą inicjatyw jest Jacek Kister, kierownik Wiejskiego Domu Kultury. Na wyznaniowe poplątanie nakłada się jeszcze w Kosarzewie wielorakość organizacyjna: PZPR, ZSL, PRON, ZMW, a na niedawne zebranie Solidarności Rolników Indywidualnych też sypnęło ludem.

Trzon obu „oficjalnych” wyznań stanowią, jak to na wsi, stare kobiety. „E tam panie, co to za religia, jak ksiądz może mieć żonę i dzieci?” — mówi jedna z nich. — Widział to kto?”. „Tak, tak — dodaje druga — jak ten ksiądz był za granicą, to zastępował go taki inny i przywiózł ze sobą kobitę. To wtedy wielu ludzi przejrzało i nawróciło się. Jak odchodził, to prawie nikt go nie żegnał”. Wierni mogą sobie czynić przytyki i

rozności chichotliwe ploty, ale istotny konflikt — jak mówi ksiądz Bajorek — mogłoby spowodować jedynie duchowni. „Obecnie nasze dwie społeczności egzystują obok siebie bez większych zadrzań — mówi. — Ksiądz przychodzi i odwiedzi, a ludzie pozostają. Konflikty, które mogłyby wnieść, ciągnęłyby się latami. Dlatego hołdujemy zasadzie tolerancji i dobrej woli”.

Pytani o rozwierzenie duszy, mieszkańcy wsi robią zdziwione miny. W całej sprawie nie widzą nic sensacyjnego. Ot, było tak od lat, więc nad czym tu mieć. Młodzi emigranci do wielkich miast udrzymują nawet, że jedynym wyróżnieniem Kosarzewa jest świeże powietrze. „Czas dysput teologicznych — mówi jedna z nauczycielek — dawno już minęły. Na co dzień myśli się tutaj o obrzędku, o tym jak kupić traktor, w co i czy w ogóle inwestować, kiedy naprawić dach. Dusza, to temat nad wyraz nie na miejscu w dzisiejszych czasach”.

Nie do końca podzielał to zdanie.

Wies uchochodzą za zamożną. Ziemia tu niezła, niektórzy wyciągają z niej nawet siedemdziesiąt kwintali z hektara. Nie to jednak stanowi prawdę o Kosarzewie. Jest bowiem w mieszkańcach tej wsi coś szczególnego, jakiś błysk pogody i dobrego słowa, jakiś specjalny rodzaj luzu. Czuję się to w rozmowach i zauważa w sposobie bycia. Choć nieświadomi tego faktu, tworzą społeczność oryginalną, odmienną od fanatyczno-zaściankowego schematu wiochy.

WNIEDZIELNE przedpokładnie rozciągają się nad okolicą wszechogarniający głos dzwonów. Biją te cienie, wysublimowane — narodowe i te grubie, ciężkogłose — papieskie. Z poskręcanych w zawiąsy ścieżek schodzą ku głównej drodze odświętne rodziny. Sąsiedzi przystają, by porozmawiać. Zjednoczona wieś podąża ku centrum. Dopiero na dole rozchodzą się ich drogi. Część młodych próbuje nawet zostać w okolicach WDK. Obok, w ciemnym murowanym domu, także zbierają się cienie. Fantazyjność tego świata objawia się w sposób szczególny dopiero teraz. Czy to odprysk dawniej, wielowyznaniowej Rzeczypospolitej? Brak tutaj tylko mniejszości narodowych, które dodawałyby barwy rozwichrzeniu duszy. A jednak rozchodzą się w różne strony, ludzie zegnają się przyjaznym uniesieniem ręki. Dokładnie jak wtedy, gdy „pan Zagłoba szedł do Dopuła, «pod wiechem», pan Skrzetuski do kościoła, a pan Zaświlichowski do ciekwi”. W Kosarzewie objawia się duch dobrej narodowej tradycji — uznania dla poglądów drugiego, otwartości na wszystko co nowe, wiary w nadrzędność wspólnego dobra, choć żadna z fabryk mebli nie musi się troszczyć o okrągły stół dla Kosarzewa.

List otwarty do p. minister zdrowia.

Szanowna Pani Minister!

Około sto dni temu, jak każdy Polak z uwagą obserwowałem w telewizji prezentację ekipy premiera Rakowskiego. Ministrowie w przedstawianych przed kamerami „short programach” starali się zyskać aprobatę i zrozumienie obywateli dla swoich najważniejszych planów i zamierzeń.

Pani wypowiedź, a szczególnie jej część dotycząca pilnej potrzeby nasyceń placówek służby zdrowia najnowszym diagnostycznym sprzętem komputerowym wzbudziła mój szczerzy niepokój, dlatego — zaraz odpowiem. Otóż nasunęło mi się skojarzenie, żę idąc na bal, nie umyły facet z brudnymi nogami, zakłada frak i lakierki. I chociaż z Pani wypowiedzi nie ma to nic wspólnego, dalej stanęli mi jeszcze przed oczami ci polscy maniacy energetyki jądrowej, którzy na śmietniku energetyczno-ekologicznym, jakim jest obecnie teren naszego kraju, usiłują nas uszczęśliwić budową atomowych elektrowni, jakby to właśnie one rozwiązywały wszystkie problemy energetyczne. W sytuacji, kiedy cały świat, który się w nią jeszcze nie uwikłał, wycofuje się z tej energetyki. W środek krwioobieg Polski, obok Wisły i naszego wspaniałego Kazimierza próbują nam wszczepić atomowego nowo-

twora — wielki kłopot, a może i wielkie zagrożenie dla naszych dzieci, dla przyszłych pokoleń. Nie myślą o kosztach, nie myślą o tym, aby najpierw złożyć skuteczne filtry na elektrownie węglowe i rozwiązać problem oszczędzania paliw i energii (a wystarczy nam i obecna energetyka, tylko chcą zrealizować zakodowane (lub zakonserwowane) gdzieś w młodości idee! Wracam jednak do tego nie umytego faceta we fraku. Na drzwiach laboratorium analitycznego polikliniki szpitala PSK-4 w Lublinie widnieje napis: „Krew pobieramy sprzętem wielorazowym”. Ci, którzy potrafią ten napis rozkodować, czytają: „Uważaj, jeżeli nie masz swojej igły jednorazowej, możesz być zakażony żółtaczką”. I chociaż dzięki temu, że pracownicy lubelskich szpitali stają na głowie i trochę tych igieł jednorazowych w laboratorium obecnie jest, napis ten jest ośmieszający i haniębny dla polskiej służby zdrowia w końcu XX wieku!

Pani Minister mówi nam o diagnostycznym sprzęcie komputerowym, kiedy w ciągu roku, od dziesiątków lat naszej socjalistycznej rzeczywistości, służba zdrowia, przez brak sprzętu jednorazowego „produkuje” kilkanaście tysięcy inwalidów — ofiar żółtaczki wszechpiennej (że już nie wspomnę o tych, co od razu umierają). Inwalidzi ci to zazwyczaj ludzie w „wieku pro-

dukcyjnym”. Ja jestem jednym z nich i poznałem ten problem z konieczności lepiej niż być może wielu specjalistów od profilaktyki. Sytuacja ta rykoszetem odbija się na pracownikach służby zdrowia. Żółtaczką wszechpenną zarażają się od pacjentów lekarze i pielęgniarki.

Gdyby więc Pani Minister omawiając swój program pracy w telewizji powtórzyła tylko te słowa: „Igły, strzykawki, sprzęt jednorazowy i środki opatrunkowe” i gdyby Pani tej właśnie sprawie i jej ostatecznemu i skutecznemu rozwiązaniu poświęciła całą energię byłby to wielki, konsekwentny i ambitny program, wynikający z poczucia rzeczywistości.

Diagnostyczny sprzęt komputerowy jest porównywalnie z lekami bardzo drogi, a ponieważ pilniejsze są leki, a na ich zakup również poważne sumy dewizowe, na sprzęt ten nas nie stać. Cywilizowany świat jednakże patrzy na nas z uwagą i troską (również we własnym interesie). Ten diagnostyczny sprzęt komputerowy jest nam darowany w dostatecznych ilościach przez różne charytatywne organizacje oraz przez Naszego Papieża. Sytuacja więc na tym odcinku nie jest aż tak krytyczna, a wysiłki Pani Minister winny pójść w innym kierunku: „Igły, strzykawki, sprzęt jednorazowy i opatrunkowy”. Wszyscy wiemy, że Ministerstwo Zdrowia ma do rozwiązania również szereg

innych palących problemów, jak np. uregulowanie wynagrodzeń pracowników służby zdrowia na poziomie godnym społecznej rangi ich zawodów, przyspieszenie budowy szpitali. Dlatego też rzucone przeze mnie hasło to nie tylko próba zawiązania problemów służby zdrowia. Był w dwudziestolecie międzywojennym niegłupi — jak obecnie przyznajemy — polityk, premier, Sławoj-Składkowski. Po wojnie postarano się, aby z jego działalności dla kraju wspominać tylko anegdotalnie i w formie ośmieszającej go — przypominając wprowadzoną administracyjnie nakazem budowę ubikacji tzw. sławojek. Obecnie jego osoba jawi nam się w zupełnie innym świetle. Premier ten miał poczucie rzeczywistości, wiedział czego chciał i realizował to z żelazną konsekwencją.

W reformatorskim rządzie, za jaki chce się uważać rząd premiera Rakowskiego, lepiej byłoby rozwiązać w każdym resorcie do końca jedną, może na pozór mało efektywną rzecz, niż podjąć wiele nie dokończonych kroków. Jak to już robiono od 1981 roku.

„Igły, strzykawki, sprzęt jednorazowego użytku i środki opatrunkowe”. Zyczę gorąco Pani Minister powodzenia!

Lech Siczek
mgr prawa — rencista
Lublin

ON TO ROBI, BO JEST ŻYDEM, JA TO ROBIĘ, BO JESTEM POLAKIEM

OBOK SIEBIE

Rozmowa z Andrzejem Przemyskim - sekretarzem Towarzystwa Opieki nad Pamiątkami Kultury Żydowskiej w Lublinie

— Niedawno powstało Towarzystwo Opieki nad Pamiątkami Kultury Żydowskiej w Lublinie. Jaka była jego geneza?

— W 1987 roku przypadała 45. rocznica zagłady getta w Lublinie. W tym celu grupa ludzi, głównie z inicjatywy doktora Symchy Wajsa, byłego mieszkańca Lublina, zrealizowała świetny film o przedwojennym żydowskim Lublinie — zawiązała komitet do obchodów tej 45. rocznicy. Taki półformalny komitecik, którego w zasadzie jedynym celem było doprowadzenie do uczczenia rocznicy. Łączyło się to jeszcze z organizowaną przez UMCS sesją „Bełżec, Sobibór, Treblinka”. W każdym razie w listopadzie 1987 roku zrealizowaliśmy doprowadzić do otwarcia Izby Pamięci Żydom w Lublinie, czegoś w rodzaju izby muzealnej przy ul. Lubartowskiej 10. W izbie eksponowane są elementy religijne, przedmioty kultu religijnego, świeczniki, zastawiony stół żydowski, wszystkie rzeczy, które były potrzebne pobożnemu Żydowi, żeby mógł normalnie funkcjonować. To jest jedna część ekspozycji.

Druga część przedstawiała i przedstawia (cały czas zmieniana) zdjęcia dotyczące Lublina, ludzi związanych z Lublinem. Jest oczywiście także część modlitewna, w sposób specjalny przystosowana. Jeżeli pobożny Żyd będzie chciał się pomodlić, to będzie się mógł odgradzić od tej żydowskiej, ale niezbyt typowej jak na bożnicę części ekspozycji. To było ustępowanie na rzecz tych, którzy by chcieli tę izbę pamięci odwiedzać z motywów religijnych. Bożnica ta nazywała się Hewra Nosim. Ocalała jako jedyna w Lublinie. Ci, którzy odwiedzają tę bożnicę z motywów religijnych, są to głównie Żydzi z Izraela. Do modłów publicznych potrzeba 10 Żydów, a w Lublinie tyłu ich nie ma. Precyzyjniej: może oni są, ale się nie ujawniają. Żydzi przybywający z zagranicy ogromnie się dziwili, że to jednak chrześcijanie otworzyli na powrót bożnicę, w jej nowej formie.

Obchody się skończyły, komitet w zasadzie powinien się rozwiązać, ale okazało się, że jest sporo innych rzeczy do zrobienia, że istnieje nadal szereg pamiątek po tej, ponad 30-tygodniowej społeczności, która przed wojną zamieszkiwała w Lublinie. Postanowiliśmy w jakiś sposób zinstytucjonalizować działanie osób z komitetu. Czy to było konieczne? W obecnej rzeczywistości prawnej — tak. Chodziło o uniknięcie pytań urzędników w rodzaju: „Panowie, panowie, no, kto wy jesteście, z jakiej racji wy to robicie, kto wy jesteście?” Ja mogę powiedzieć, że jestem Przemyski, a to jest Wajs. On to robi, bo jest Żydem, ja to robię, bo jestem Polakiem. Realia są jednak takie, że pewne rzeczy muszą się dziać oficjalnie. W związku z czym trzeba było to jakoś sformalizować. Chodziliśmy z pół roku wokół idei: jak by to zrobić? Pomysłiliśmy o stowarzyszeniu. Najpierw czekaliśmy czas jakiś na nową ustawę o stowarzyszeniach, ale daliśmy spokój, bo stwierdziliśmy, że akurat nasze stowarzyszenie może być zarejestrowane w każdych warunkach. I faktycznie, od 18 stycznia br. jesteśmy formalnym, wpisanym do rejestru stowarzyszeniem w Urzędzie Wojewódzkim w Lublinie.

— Pod jaką nazwą?

— Pełna nazwa, zgodnie ze statutem, brzmi: Towarzystwo Opieki nad

Pamiątkami Kultury Żydowskiej w Lublinie. Jest to może myląca nazwa, bo nam chodzi nie tylko o Lublin: tych pamiątek kultury żydowskiej jest jeszcze wciąż sporo na całej Lubelszczyźnie. Oficjalnie funkcjonujemy zatem na terenie chełmskiego, zamojskiego, białkopodlaskiego i lubelskiego. Jesteśmy stowarzyszeniem regionalnym.

— Jaki macie program, co chcecie robić?

— Możemy powiedzieć o przymiarach, o tym, o czym myśleliśmy, kiedy zabraliśmy się do tworzenia tego Towarzystwa. Cóż może być tutaj najważniejsze? Jeden kierunek — to upamiętnianie, drugi kierunek — to dokumentowanie i opracowanie pod względem naukowym tego, co jest. Upamiętnianie ma złą tradycję. Jak Polak nie ma co robić, to buduje pomnik. Okazuje się jednak, że jak Żyd nie ma co robić, to też buduje pomnik. Komitet doprowadził do wmurowania kilku tablic na terenie Lublina. Niektóre z nich okazały się, ku mojemu zdziwieniu, całkiem pożyteczne i potrzebne. Np. pod Zamkiem została postawiona tablica z planem byłej dzielnicy żydowskiej. Przewodnicy, którzy dowiedzieli się o tym, mówią

stwierdzić, że to było żydowskie miasto. Tu był sklepik na sklepiku! Krakowskie Przedmieście — to samo. Świętoduska to nie były zresztą te najgorsze sklepiki, nie mówiąc o takich rejonach jak Podzamcze. Materialnych pamiątek, takich jak domy, bożnice i inne budowle, wbrew pozorom aż tak dużo nie zostało. Co z tego, że możemy przejść, wskazać palcem na jakiś istniejący sklep i powiedzieć, że tu był na przykład jubiler Rosenblat? Wiemy jak się nazywał, znamy wygląd jego sklepu, zostały jednak tylko te mury. Może nawet to nie jest takie istotne. Bardziej istotne byłoby wyszukanie pewnych pamiątek bliżej związanych z kulturą. Pamiątek, na które możemy wskazać palcem i powiedzieć od razu, to było w jakiś sposób związane z żydowską społecznością Lublina. A takich przedmiotów już jest znacznie mniej.

— Czy pan nie przesadza? Dobrze zachował się, na przykład, obiekt szkoły rabinackiej przy ulicy Lubartowskiej...

— Wyższa szkoła rabinacka, czyli Jeszybot Mędrców Lublina, była to szkoła stworzona przez Meira Szapiro ze składek Żydów amerykańskich. Szkoła ta była otwarta pięć lat przed

du, ła tych, co powracali ze Związku Radzieckiego, a potem przeszedł w ręce miasta. I praktycznie rzecz biorąc, nie ma dziś śladu, że to był owoc inicjatywy społeczności żydowskiej, że to miało być centrum kulturalne, oświatowe. To upamiętnia jedynie tablica. Ale dobre i to.

— Jak wyglądało kiedyś w Lublinie życie dwóch społeczności, polskiej i żydowskiej?

— Między ludnością żydowską, a ludnością polską można ostrożnie mówić o symbiozie. Istniały dwa organizmy, oddzielne społeczności, które wyciągały ze swojego istnienia, tzn. jedna z drugiej, pewne korzyści. Nie było to tak, że jedna bez drugiej żyć by nie mogła. Generalnie były to środowiska oddzielne, izolujące się, ale miały bardzo wiele punktów stykowych. Trudno byłoby generalizować i twierdzić, że to współżycie między Żydami i Polakami było bardzo dobre. Bo można znaleźć dziesiątki przykładów na to, że nie było, a jeżeli ktoś chciałby powiedzieć, że było tragiczne i w ogóle gorzej być nie mogło, to też można znaleźć dziesiątki przykładów idealnej wręcz współpracy. Owszem były dwa oddzielne społeczeństwa ale miały ze sobą bardzo wiele wspólnego.

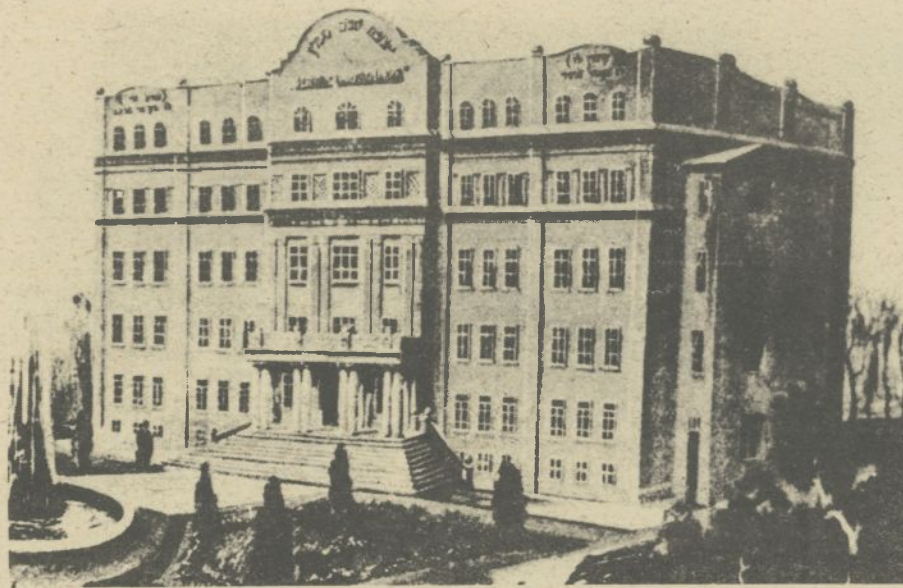
Uważam za dramat, że te dwa społeczeństwa żyły tak bardzo oddzielnie. Były dokonania, istotne dla Żydów, ale równocześnie absolutnie nieistotne dla Polaków. Z kolei niektóre dokonania polskie, powiedzmy endeckie, były niekorzystne dla Żydów. Jeżeli jednak mamy koncentrować się na pozytywach, to uważam, że wartość tkwiła właśnie w symbiozie. Nie w jakichś szczególnie spektakularnych dokonaniach, tylko w tej prostej i codziennej symbiozie. Żydzi wypełniali pewne pola życia społecznego (np. handel, usługi, lekarze, adwokaci) i to wszystko bardzo dobrze funkcjonowało ku pożytkowi ogólnemu. Żydzi także dość aktywnie zaangażowani byli w ruch lewicowy na terenie Lublina.

Mówiąc natomiast o elementach specyficznie żydowskich społecznego życia miasta, trzeba wymienić bardzo rozbudowaną działalność kulturalną (m. in. dwa teatry), sportową, prasową, opiekuńczą, czy wspomnianą już religijną (w Lublinie było do 1939 roku ponad sto bożnic i domów modlitwy) oraz oświatową i kształceniową (Jeszybot Mędrców Lublina, liczne szkoły). Kwitł tu duch polskiego żydostwa i nic dziwnego, że nazywano nawet Lublin — „małą Jerozolimą”.

— Od kiedy możemy mówić o żydowskiej obecności w Lublinie?

— Na sto procent pewny jest XV i XVI wiek. Z XVI wieku pochodzą nagrobki na cmentarzu żydowskim. Uznawany jest on zresztą za najstarszy istniejący na terenie Polski. Potem Żydzi lubelscy dzielili dole i niedole swojej ojczyzny: Rzeczypospolitej. Nie było im chyba w Lublinie źle, skoro tuż przed wojną, jak już wspomniałem 39 procent mieszkańców miasta to byli Żydzi. Jest to, wie pani, temat na zupełnie osobną rozmowę.

— Pomówmy więc o tym, czym zajmować się będzie Towarzystwo w



Repr. Waldemar Stępień

o tym oprowadzając wycieczki. Z drugiej strony, przy Al. Tysiąclecia, jest tablica upamiętniająca miejsce, w którym stała synagoga Macharszala-Macharama z 1567 r. — największa w Lublinie, jedna z większych w Polsce (mogła pomieścić około 6 tysięcy wiernych). Nie zostało wic! Praktycznie rzecz biorąc, sięgała ona mniej więcej do połowy dzisiejszej trasy W-Z. Pozostała tylko tablica upamiętniająca ów fakt. Jest to ten wymiar upamiętniania. Kolejna tablica, na Miejskim Domu Kultury przy Grodzkiej, upamiętnia dzieci żydowskie. Tam był sierociniec. I te dzieci w czasie likwidacji zostały wywiezione i na Majdanie Tatarskim rozstrzelane. Było ich ponad sto.

Lublin w przededniu II wojny był w 39 proc. żydowski. Zachowało się sporo zdjęć z okresu międzywojennego, m. in. cały ciąg ulicy Świętoduskiej (dziś Hanki Sawickiej). Oglądając te zdjęcia można rzeczywiście

wojną i było to jedno z najpoważniejszych centrów studiów talmudycznych w świecie. W tej chwili mieści się tam Akademia Medyczna. Został budynek i praktycznie nic więcej. Z całego świata zjeżdżają tu jednak Żydzi i wciąż otaczają to miejsce. To zupełnie nieprawdopodobne, jaka siła magiczna tkwi — dla nich — w tym budynku. Widziałem nawet Żydów mdlejących tam ze wzruszenia. Ludzie tu przyjeżdżają, jest to więc dla nich miejsce istotne. Skoro czują taką potrzebę, to na pewno nam nie wolno tego lekceważyć. Takich miejsc jest więcej. Dzisiejszy Instytut Medycyny Pracy i Higieny Wsi był wybudowany przed wojną jako Dom Ludowy im. Pereca. Tak się złożyło, że on nigdy nie funkcjonował w zakładanej formie, ponieważ ledwo co ukończono budowlę i rozpoczęła się wojna światowa. Po jej zakończeniu przez krótki czas działał jako dom dla żydowskich przesiedleńców ze Wscho-

najbliższym czasie. Czy zamierzacie, na przykład, odnawiać zabytki kultury żydowskiej, zajmować się renowacją itd.?

— Zabezpieczenie wszystkich zabytków żydowskich, lub związanych z tą grupą narodowościową wykracza poza możliwości budżetu miejskiego, a co dopiero mówić naszego. Cała Lubartowska, większość Starego Miasta, Wieniawa to rejony związane z kulturą żydowską i w ogóle z Żydami lubelskimi. Nawiasem mówiąc, trzeba by przeprowadzić próbę klasyfikacji, co jest zabytkiem kultury żydowskiej, a co na przykład jest domem, który kiedyś należał do Żyda. Mógł należeć do kogośkolwiek. I jeżeli tak byśmy podchodzili do sprawy, to takich zabytków czysto żydowskich (wyróżniających się na przykład charakterystyczną architekturą czy zdobnictwem) jest niewiele.

Zostały zachowane, choć różnym stanie dwa cmentarze żydów: ten na Kalinowszczyźnie i przy ul. Walecznych. Tam widzimy pole nowego działania. Trzeba robić co się da, aby zachować należyty stan nagrobków. Myślę, że zrobiono w tym kierunku, co było można. Dużej pomocy udzieliło miasto i osobiście prezydent Edward Leńczuk.

— Czy członkami Towarzystwa są również Żydzi?

— Towarzystwo tworzą obywatele Polski. Jeżeli istotne jest dla pani, czy niektórzy z nich są z pochodzenia Żydami, to odpowiem — są. Przewodniczącym Towarzystwa jest dr Szymcha Wajs z Warszawy. Był przed wojną mieszkańcem Lublina, a z okolic miasta pochodziła cała jego rodzina, osiadła tu od kilku pokoleń. Członkiem założycielem jest również Józef Honig, przewodniczący Żydowskiej Kongregacji Wyznaniowej w Lublinie, także związany rodzinnie z Lublinem i z Lubelszczyzną od wielu pokoleń. Jeżeli idzie o skład profesjonalny, są wśród nas pracownicy nauki (m. in. prorektor UMCS prof. dr hab. Zygmunt Mańkowski), lekarze, dziennikarze, duchowni katolicy.

— Z jakich środków ma się utrzymywać Towarzystwo? Jak będzie gromadzić zbiory?

— Fundusze Towarzystwa będą tworzone ze składek członkowskich, dotacji, ofiar publicznych oraz darowizn składanych przez osoby fizyczne i prawne, a także z imprez i wydawnictw własnych.

Jeżeli chodzi o zbiory, skoro nie mamy w tej chwili dokładnej orientacji, gdzie i ile jest takich zabytków, i nie mamy pieniędzy, żeby je zakupić, to trudno o jakąś konkretną odpowiedź. Zamierzamy szukać u osób prywatnych. Być może część przedmiotów uda nam się przejąć w depozyt od niektórych muzeów państwowych lub ze zbiorów prywatnych. Wiadomo, że wiele tego typu przedmiotów (na przykład kultowych) zalega w muzealnych magazynach. Nie będę ukrywał, że liczymy także na darowizny. W tej chwili szykujemy zmianę ekspozycji w izbie pamięci. Przygotowujemy się również do skatalogowania i opracowania już posiadanych eksponatów. Jeżeli one razem będą dawały spójny obraz społeczności żydowskiej Lublina, to pokusimy się o zaproponowanie tej wystawy innym instytucjom. Nawiasem mówiąc, obecna ekspozycja cieszy się nadszpejzowanym powodzeniem, zwłaszcza u młodzieży lubelskiej. To napawa optymizmem.

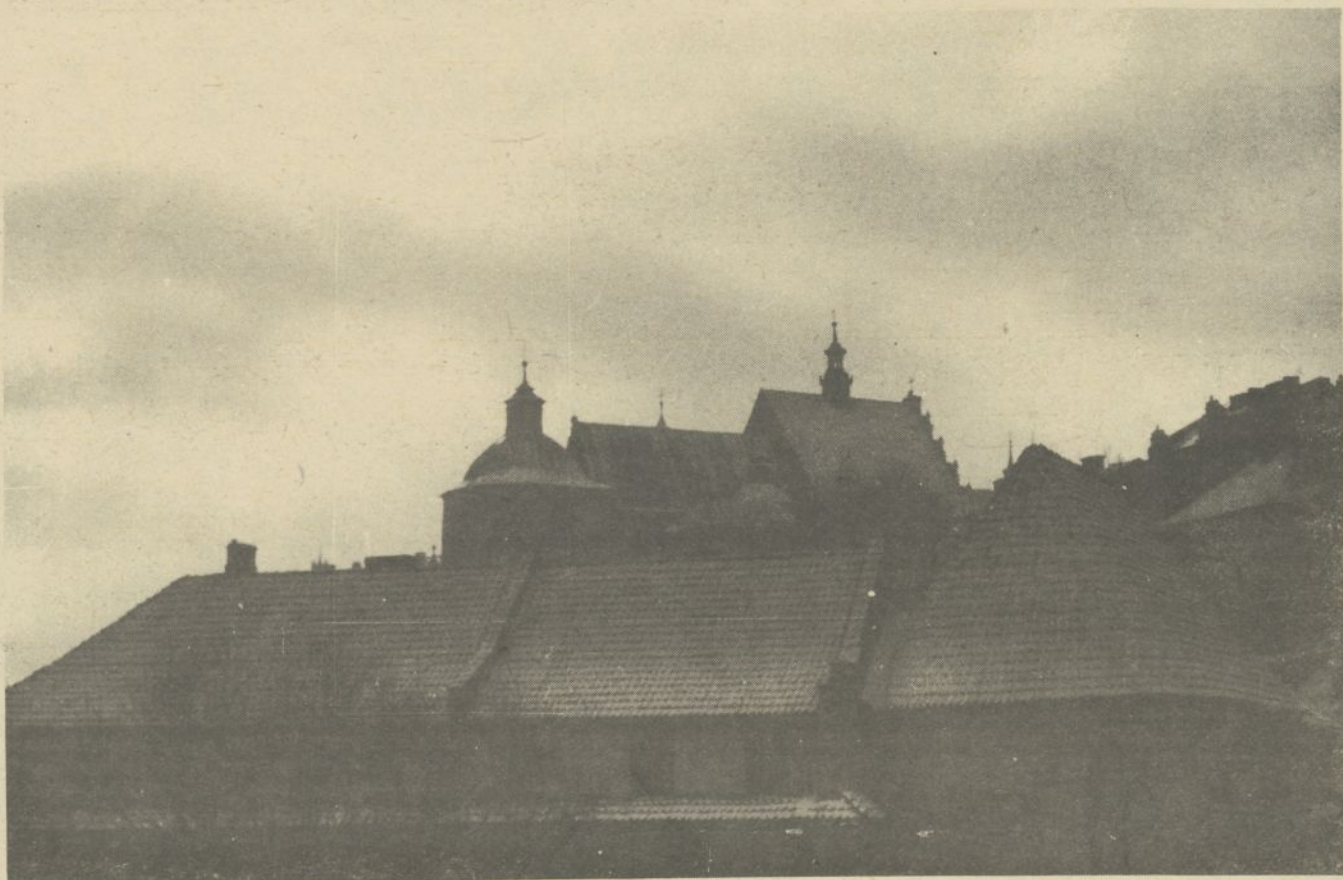
— Kto i jak może zostać członkiem Towarzystwa?

— Naszym członkiem może zostać każdy, kto ukończył 18 lat i naturalnie odczuwa potrzebę zajmowania się działalnością określoną w statucie. Siedzibą Towarzystwa jest wspomniana izba pamięci przy ul. Lubartowskiej 10 i tam można się do niego zapisać.

— Dziękuję za rozmowę i życzę owocnej działalności.

Rozmawiała:

Violetta Krasnowska



KOŚCIÓŁ oo. Dominikanów w Lublinie, fundowany w czasach Kazimierza Wielkiego, stanowi dziś jeden z najlepiej zachowanych obiektów sakralnych lubelskiego renesansu. Klasyczny, rzec można, w swej dominikańskiej formie, o pięknym, rokokowym wystroju, z wieloma cennymi elementami wyposażenia, uznawany jest za jeden z najcenniejszych zabytków architektonicznych Lubelszczyzny. Rozgłosu i oryginalności przydaje mu element zupełnie nietypowy dla polskich obiektów sakralnych — słynne dwie ambony.

Ambroży Wadowski w swej pracy z 1907 roku — „Kościoły lubelskie”, tak pisze o świątyni oo. Dominikanów: „(...) Dwa ołtarze różańcowe po jednej i po drugiej stronie przy wyjściu z nawy środkowej do prezbiterium, w guście francuskim i w tymże smaku — dwie ambony”. I dalej: „(...) Ta osobliwość, że w kościele oo. Dominikanów w Lublinie dwie były ambony naprzeciw ustawione, naprowadzała wielu piszących na różne domysły. Jedni utrzymywali, że były zbudowane dla dysput z różnowiercami, inni że dla wygody sejmikującej szlachty.

Domysły to nedorzeczne; heretyków wówczas do kościoła nie wpuszczano, a nie tylko na ambonę; co się tyczy sejmików: te jakkolwiek w kościołach się nieraz odbywały i szlachta, po wyniesieniu Najświętszego Sakramentu do zakrystii, w nich często radziła, jednak nie z ambony, ale stojąc lub siedząc w ławkach.

Od czasu wystawienia tych dwóch ambon, co miało miejsce w II poł. XVIII w., jedna z nich służyła dla

głoszących słowo Boże w niedziele i święta, druga — wyłącznie dla opowiadania go w czasie uroczystości Najświętszej Marii Panny Różańcowej”.

Tyle Ambroży Wadowski, znawca lubelskich sakraliów. Dodajmy, że dokładna data powstania obu ambon nie jest jednak znana. Bez wątpienia natomiast, nie sposób nie kojarzyć tych pięknych kazalnicy ze słynnymi dysputami, jakie toczyły się w Lublinie pomiędzy przedstawicielami reformacji i duchowieństwem katolickim, zwłaszcza w II poł. XVI i w początkach XVII wieku.

Lublin stanowił podówczas ważny ośrodek myśli ariańskiej i luteriańskiej oraz kalwińskiej. Wybitni przedstawiciele lubelskiej opozycji religijnej — M. Czechowicz, St. Paklepka, J. Niemojewski czy E. Otwinowski wiodli głośne spory teologiczne z dominikanami właśnie i jezuitami. Miejscem tych dysput były zazwyczaj kościoły: jezuitów, karmelitów, dominikanów, a także zbory różnowiercze. Tylko w 1616 roku odbyły się w Lublinie aż trzy głośne dyskursy. Nie zawsze zresztą dyskutowano — kroniki odnotowują również i tumulty religijne, gdzie nie argumentowano siłą uczonych ksiąg. A jednak przetrwały księgi... Traktaty filozoficzne, rozprawy polemiczne, pisma przesycone duchem złotych czasów, gdy nie palono na stosach ksiąg, ani ich autorów. Przetrwała też tradycja, która łączy owe dwie dominikańskie ambony z epoką gorących dyskusji i chłodnej tolerancji. Cóż, symbolika.

Fotografował Waldemar Stępień

MIAŁO BYĆ 3831 MIESZKAŃ. ZABRAKŁO AŻ 619

STATYSTYKA MINEŁA SIĘ Z ŻYCIEM

Izabella Wlazłowska

Prezes ma dosyć tłumaczenia, że to nie przez niego odwołany został ze stanowiska wicewojewoda lubelski. Główny specjalista jest już całkowicie „wyleczony” z budowania mieszkań. Dyrektor nie ma sobie nic do zarzucenia. Naczelnik Lubartowa jest nieuchwytny.

ZGODNIE z ustawą o statystyce z 1986 roku, Wojewódzki Urząd Statystyczny w Lublinie przeprowadza dwójakiego rodzaju kontrole. Jedną związaną jest z terminowością i prawidłowością składanych sprawozdań, druga dotyczy ich rzetelności, czyli sprawdzania danych, wykazanych w sprawozdaniach, z faktycznym stanem rzeczywistości.

Z początkiem stycznia tego roku pracownicy WUS razem z pracownikami IRCh udali się na kontrolę 10 budynków mieszkalnych wykazanych w sprawozdaniach I-06 jako oddane do użytku. Trzy z nich — jak stwierdzili kontrolerzy — nie nadawały się w ogóle do zasiedlenia. Łącznie było to 86 mieszkań.

Pod zarzutem sfalszowania danych stanęła Międzyzakładowa Spółdzielnia Mieszkaniowa w Lublinie, która w sprawozdaniu złożonym do WUS wykazała, że 30 grudnia 1988 roku przekazała do użytku budynek z 38 miesz-

kaniem przy ul. Rogowskiego. 3 stycznia kontrolerzy zastali na budowie 26 fachowców z LPIS, LPIE i Zakładu Budowlano-Montażowego FSC, którzy wykonywali prace przy instalacji gazowej, elektrycznej, malowaniu grzejników i klatki schodowej oraz usuwaniu różnych usterek.

Podobny zarzut postawiony został Zakładowi Energetycznemu w Lublinie. Ten wykazał w sprawozdaniu, że oddał do użytku budynek w Łagiewnikach (osiem mieszkań), w którym jednak nie zakończono tynkowania ścian, wylewania posadzek w pralni i suszarni, układania mozaiki na podłogach, malowania lamperii i stolarki drzwiowej.

Trzecim fałszerzem sprawozdawczości okazał się Urząd Miasta w Lubartowie, a właściwie Wojewódzka Dyrekcja Inwestycji, Oddział Rejonowy w Lublinie, która w sprawozdaniu GUS wykazała, że gotowy jest 40-mieszkaniowy budynek komunalny w Lubartowie. Tymczasem podczas kontroli okazało się, że w budynku nie były jeszcze wylane podłoża podłogowe, nie był zainstalowany osprzęt elektryczny, nie było progów w mieszkaniach, a na dachu trwały prace podwyższające kominy wentylacyjne. Po budynku kręciła się przysłała użytkownicy, którzy nie posiadali jednak jeszcze przydziałów na swoje mieszkania.

Na skutek zakwestionowania przez WUS i IRCh rzetelności sprawozdań —

86 mieszkań nie zostało zaliczonych do tzw. efektów ubiegłego roku.

Już w połowie 1988 roku IRCh w wystąpieniach pokontrolnych, kierowanych do wojewody lubelskiego, I sekretarza KW PZPR i resortowego wicewojewody, sygnalizowała nieprawidłowości dotyczące realizacji zadań budownictwa w województwie.

Wymiana korespondencji trwała. Mieszkań od tego nie przybywało.

Wicewojewoda Zdzisław Słotwiński zajął stanowisko: „zobowiązano wszystkich wydziały tuż. urzędu i instytucji biorące udział w realizacji budownictwa mieszkaniowego i remontów budynków do prawidłowej koordynacji działań w zakresie nadzoru nad robotami wykończeniowymi obiektów mieszkalnych oraz przeciwdziałanie zakwalifikowywaniu przekazywania do użytku obiektów nie wykończonych”.

Wojewódzki plan uspołecznionego budownictwa mieszkaniowego na 1988 r. zakładał oddanie użytkownikom 3831 mieszkań. Na koniec roku do wykonania planu zabrakło aż 619 mieszkań.

Prezes Rady Ministrów odwołał ze stanowiska wicewojewodę lubelskiego Zdzisława Słotwińskiego.

★

— Nieźle pan narozrabiał, prezesie. Wygrzył pan ze stolka wicewojewodę, sfalszował sprawozdanie...

— Zaraz, zaraz. Może po kolei. — Zenon Cz., prezes Międzyzakładowej Spółdzielni Mieszkaniowej, okres nerwowości ma już za sobą. Teraz wie, że Rada Nadzorcza spółdzielni oraz członkowie trzymają jego stronę i cały czas podtrzymują go na duchu.

— Spółdzielnia powstała w 1984 roku, a jej zadaniem jest wybudowanie 350 mieszkań. Prawnymi członkami spółdzielni są przedsiębiorstwa: LPBM, FSC, LPIS, LPRInż. i jeszcze kilka. I to właśnie pracowników tych przedsiębiorstw, a więc naszych członków, sprowadzili kontrolerzy pracujących w budynku przy ulicy Rogowskiego. Przyjęliśmy założenie, że spółdzielnia oddawać będzie mieszkania w stanie surowym. Każdy członek spółdzielni zobowiązał się odpracować przy „swoim” budynku około 1000 godzin. Od dwóch lat mieszkania w tym budynku są rozdzielone. Każdy więc lokator wie, które mieszkanie jest jego. Do lokatora należy wykończenie wnętrza. Jedni to robią wolniej, inni szybciej, ale to już nie jest sprawą spółdzielni. Oczywiście, spółdzielnia pomaga swoim członkom w zdobywaniu materiałów itd. Proszę pójść i zapytać mieszkańców tego bloku, czy któryś ma do mnie jakieś pretensje. Ale oczywiście ja będę odpowiadał za „sfalszowanie danych”.

— Nie dość, że sporządził pan sprawozdanie, to je pan jeszcze zaakcepto-

Dokończenie na str. 14

ZMNIJSZYĆ POLSKĘ

Dokończenie ze str. 1

PRZENIESMY się z zachodu na wschód. Tu także przed kilkunastu laty zrodził się projekt zagospodarowania owej „ściany wschodniej”, terenów od Suwalszczyzny po Bieszczady, ze szczególnym uwzględnieniem Białostockiego. W jaki sposób miało to nastąpić? Jak zwykle, w sposób wypróbowany — przez pokrycie tej ściany pasem wielkich kombinatów rolnych, będących rezultatem niebotycznych nakładów finansowych. I znów nic z tego nie wyszło, jak w Sudetach. Owszem, powstał słynny „Igloopol”. Jego obecny dyrektor szczeni się, że w ciągu dziesięciu lat istnienia kombinatu, czy raczej wielki koncern rolnospożywczy zwiększył produkcję rolą 43 razy, 40-krotnie przetwórstwo rolno-spożywcze, a w roku bieżącym wypracuje zysk wartości 42 miliardów zł. Na pytanie o to, ile kosztował „Igloopol” oraz na ile takich „Igloopolów” stać Polskę, odpowiada, że problem polega jedynie na tym, skąd wziąć pieniądze.

Skąd wziąć pieniądze? To dyrektor nie wie, skąd się biorą pieniądze? Przecież z mennicy. Wystarczy wystać kosztorys i zapotrzebowanie!

Przez 40 lat nikt nie wpadł na pomysł, żeby założyć Towarzystwo Rozwoju Ziemi Wschodnich. Jakże by się przydało. Teraz w Białostockiem są wsie, w których ślub odbywa się co kilka lat, w zamian za to co kilka tygodni ksiądz, czy miejscowy batiuszka odprowadza któregoś z wiernych na miejsce wiecznego spoczynku. W ciągu pięciu najbliższych lat obszar ziemi niczyjej gruntów ornych porzuconych przez wymarłych właścicieli, lub tych, co wynieśli się do miasta, wyniesie tam 100 tysięcy hektarów.

Przesuńmy się w dół „ściany wschodniej”. Województwo białostockie, przynajmniej w jego pasie przygranicznym, jest terenem zamierających wsi, wzrastającego arealu Państwowego Funduszu Ziemi, emigracji ludności w głąb kraju. Jeszcze tylko ziemniaki, ogórki na eksport, jeszcze tylko hodowla owiec, mniej pracochłonna niż hodowla innego bydła, trzymają większość rolników województwa przy ich gospodarstwach.

W województwie chełmskim, jednym z najmniejszych obszarowo województw kraju, areal Państwowego Funduszu Ziemi ocenia się na przeszło 30 tysięcy hektarów.

Wróćmy w Białostockie. Kosztem wielu miliardów złotych założono tam trzy Państwowe Gospodarstwa Rolne: w Kleszczelach, Mielniku i Gródku, każdy z kilkoma tysiącami hektarów. Zagospodarowanie każdego z tych hektarów kosztowało, w pieniądzech sprzed paru lat, przeszło dwa miliony złotych. Teraz to samo by kosztowało dwa razy więcej. A więc najdroższe hektary świata. A kto i jak, za jaką cenę, zagospodaruje te pozostałe 100 tysięcy hektarów?

W styczniu odbyło się w Białymstoku krajowe seminarium specjalistów, którego tematem wywoławczym była tak zwana regionalizacja polityki rolnej państwa. Tam właśnie z całą ostrością i dramatyzmem wypunktowano sytuację rolnictwa na terenach obrzeżnych Polski, od województwa opolskiego po Suwalszczyznę. Specjaliści, niejako przy okazji, rozprawili się wówczas z pewnymi stereotypami. Jeden z nich głosi, że wysoka jakość gleb niemal automatycznie rozstrzyga o poziomie plonów (wyższych o około 70 procent na glebach o wysokiej bonitacji w stosunku do „piasków, łasków i karasków”). Ten mit byłby trudny do podważenia, gdyby nie istniały dwa województwa: zamojskie i przemyskie. Obydwa dysponują jednymi z najlepszych gleb w kraju, a pod względem towarowości produkcji rolnej plasują się w środku peletonu województw. Zamojskie jest na drugim miejscu w jakości gleb, a na 23 w produkcji! Drugi z kilku innych stereotypów mówi, że im większe nakłady na dobre gleby, tym proporcjonalnie większy wzrost produkcji. Znow błądne mniemanie. Napompowane środkami do produkcji rolnej województwa wrocławskie, opolskie czy krakowskie dają tylko o 30 proc. większą produkcję niż „zapomniane” suwalskie, białostockie i ostrołęckie. Dla przykładu: w Opolskiem na hektar sypie się aż 278 kg nawozów, w Białostockiem tylko 127 kg, a więc mniej niż połowę.

DLACZEGO Zamojszczyzna tak raziąco mać statystyczny obraz wydajności dobrych gleb? Ano dlatego, że gleba to dopiero warsztat. Powodem jest zaniedbanie tych wszystkich czynników, które składają się na pojęcie infrastruktury rolnej. Są to: niedostateczne zaopatrzenie w maszyny i narzędzia, kiepska sieć handlu, usług, komunikacji, szkół, opieki zdrowotnej itd. Do tych hamulców trzeba dodać przygraniczne, peryferyjne położenie województwa. Można zaryzykować twierdzenie, że jest to pienwiza i zasadnicza przyczyna dysproporcji pomiędzy warunkami a rezultatami. Gdyby Zamojszczyznę przeniesić nad Wisłę, to w ciągu dziesięciu lat zamieni się w krainę mlekiem i miodem płynącą. Ale to nie jest wina gleb czy ludzi tam pracujących i żyjących. To winien moloł centralizmu. Im dalej od centrum, tym ciemniej. A nad granicą, zwłaszcza tą bardziej odległą, od ciękawskich wejrzeń Europy, to już zupełny mrok.

Na wspomnianej konferencji, odbytej nie bez powodu w Białymstoku, a więc w epicentrum zagadnienia, najwięcej rozterek i sprzeczności budziły pytania o drogi wyjścia z mroku. Poza kilkoma urzędowymi optymistami, jak np. dyrektor „Igloopolu”, naukowcy sceptycznie widzieli remedium w wielkich kombinatach rolnych. Większość — szansę ratowania tym terenów upatruje w jednoczesnych i wielokierunkowych działaniach. Niezbędne jest odradzanie rzemiosła, usług, drobnego przemysłu, turystyki.

Duże szanse aktywizacji widzą w przemyśle spożywczym, tym drobnym, może nawet prywatnym. Tu i tam waznywnictwo, sadownictwo, uprawa ziół, pszczelarstwo, Trzeba nawet, zróżnicować ceny skupu owoców rolnych, przynajmniej niektórych, preferując tereny zaniedbane, a więc wymagające większych nakładów.

Z pewnością byłby to proces przewlekły, wymagający upocu, konsekwencji i stabilności działania, a nade wszystko decentralizacji myślenia i decyzji.

NIE brak i takich, którzy wymieniają tu szanse promocji zaniedbanych terenów widzą w kategoriach pobożnych życzeń i tereny te, przynaj-

mniej na dającą się przewidzieć przyszłość, widzą jako obszary stracone dla rolnictwa, zwłaszcza na tle obecnej sytuacji gospodarczej kraju. Osobną grupę stanowią zwolennicy masowych zalesień. Rozumują następująco: skoro te setki tysięcy hektarów, jeśli już nie trzecia część obszaru kraju mają stać ugorem, gdy kraj potrzebuje i będzie potrzebował coraz więcej drewna, to przynajmniej zainwestujmy w las dla naszych następców.

Oponenci tej koncepcji argumentują rzekomą degradacją gleb przeznaczonych pod zalesienie. Nie widzą, że i tak jest skazana na degradację. Powołują się na tak zwane bielocowanie, wypłukiwanie cząstek próchnicznych w głębsze warstwy, co dotyczy zwłaszcza monokultury sosnowej, a w mniejszym stopniu — liściastej.

Co na to leśnicy? Sprawę bielocowania gleb są skłonni odsunąć do zmartwień ich wnuków, lecz generalnie uważają, że zalesianie trzeba tylko to, co żadnym sposobem nie da się zagospodarować rolniczo. To racja — odpowiadają oponenci, ponieważ jednak nie ma szans na zagospodarowanie, a bezużyteczne ugonowanie przez dziesięciolecia jest czymś najgorszym, nie do przyjęcia — więc trzeba zalesiać. Polska jest krajem o jednej z najmniejszych leśności w Europie. Leśnicy przyjęli dalekosiężny, rozpisany na trzydzieści lat program zwiększenia leśności kraju do 30 proc. jego powierzchni. Tereny przez nikogo nie doliczane, walmie by ten plan urealniły.

Jak na razie, jesteśmy w stadium diagnoz i sporów. Negatywne procesy trwają i kumulują się. Obręcz martwicy zaciska się. Czy kiedyś, za kilkadziesiąt lat, w Warszawie będzie mieszkać, jak w stolicy Meksyku, połowa ludności kraju? Zwolennicy zalesiania nieużytków PFZ przypominają, że na wyżywienie jednego Japończyka trzeba ledwo pięciu arów. W Polsce, czego dowodzą półki sklepowe, nie wystarczy nawet tych statystycznych 50 arów. Rezerwy ogromne.

Skoro jednak nie potrafimy, to może wydzierżawimy komuś obrotnemu? Od czasów przedwojennych Polska zmniejszyła się o kilkadziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych. I wciąż jakby była za duża.

Henryk Pająk

POŚLUCHAJCIE.

„Niedawno prasa codzienna doniosła, że najstarszy uniwersytec ery nowożytnej — Bolonia uhonorowała doktoratem honoris causa profesora Andrieja Sacharowa. Po przeczytaniu o tym sięgnęliśmy do czterotomowej encyklopedii PWN (wydanie z 1980 roku) i próbowaliśmy odszukać w IV tomie hasło »Sacharow«. Powinno ono figurować pomiędzy »Sachalińskim Obwodem«, a »sacharozą«, ale tam go nie ma. Skoro »Relacje« mają pokazywać prawdziwe relacje rzeczy i zjawisk to może powieść, gdzie jest obecnie hasło »Sacharow«? Do postawienia tego pytania zachęca nas rozmowa z naszym Profesorem zamieszczona w pierwszym numerze naszego czasopisma [...]».

Po czym następują podpisy trzech maturzystów II Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Zamoyskiego w Lublinie.

List, którego fragment drukuje, nie jest może zaskakujący dlatego, że zajmując się niedawnym dysydem, wybitnym uczynym, a wcześniejszym bohaterem Wszelkich Możliwych Tytułów i laureatem Wszelkich Możli-

wych Nagród w ZSRR. Zaskakuje pytanie zawarte w konkluzji (lub może konkluzja tkwiąca w pytaniu?): gdzie jest hasło »Sacharow«? Nie: kim jest Sacharow?

HASŁO: „SACHAROW”

Waldemar Piasecki

„Oby eksplodowały tylko nad poligonami”. Chodziło naturalnie o bomby. W 1967 roku ma już dwa tytuły bohatera, Nagrodę Leninowską i intensywnie pracuje wraz z Kurczatowem nad wykorzystaniem broni atomowej we wszystkich środowiskach. Jest człowiekiem sukcesu, jaki w wieku 36 lat może się w zasadzie tylko przysnąć. Dla Sacharowa sukces jest jawą. Szacunek, splendory, order, wspaniała dacha, czarna limuzyna, służba.

I nagle w 1958 roku akademik Sacharow pisze memoriał do Nikity Chruszczowa, w którym próbuje doprowadzić do odwołania próby jądrowej. Przestrzega przed skutkami i nie idzie tu o bezpośrednie działanie, a o wpływ tej eksplozji na... eskalację zbrojeń. Następuje czas trzyletniego moratorium na próby jądrowe. Latem 1961 roku Chruszczow przejeżdża do kolejnego fajerwunku atomowego na azjatyckich pustkowiaach. Sacharow próbuje go przestrzec, że tym razem wybuch będzie oznaczał zenowanie rakietami i czarnymi chmurami. „Byłbym mądrzejszym, gdybym słuchał takich jak Sacharow” — usłyszy w odpowiedzi. W 1962 roku ma się odbyć kolejna eksplozja. Nie może wnieść nic nowego w sensie technicznym i wojskowym, stanowi natomiast poważne zagrożenie zdrowia i życia tysięcy ludzi. Dlatego — protestuje! Uczony koncentruje się od pewnego czasu nad problemem szkodliwości prób jądrowych dla zdrowia i ich długofalowych skutków (m. in. genetycznych). W przeddzień wybuchu telefonuje do Chruszczowa, który przebywa w Aszchabadzie i dostojnie błaga o powstrzymanie eksplozji. Wódz odmawia. Kiedy rankiem następnego dnia znów zadzwoni, okaże się, że termin próby przyspieszono i samolot z bombą właśnie nadchodzi nad „cel”. Powie później Sacharow, że ogarnęło go trudne do opisanego poczucie „bezsilności i przerażenia”.

Jeszcze w 1962 roku Andriej Sacharow redaguje koncepcję układu o zakazie prób nuklearnych na lądzie, wodzie i w powietrzu. Robi to, choć nikt go nie prosi. W 1963 roku dojdzie do podpisania takiego właśnie układu przez N. S. Chruszczowa i J. F. Kennedy'ego. Wydaje się wielce prawdopodobne, że projekt Sacharowa był wykorzystywany przy opracowywaniu tego dokumentu.

W 1971 roku Andriej Sacharow skierował memoriał do Leonida Breżniewa, którego główne myśli rozwinął, cztery lata później, w pracy „O kraju i świecie”. Uczony sugerował I sekretarzowi KC KPZR, że mocarstwo radzieckie staje się powoli anarchicznym kolosem brnącym w kryzys. Aby tego stanu nie pogłębiać, a odwrotnie — wychodzić z niego, proponował Sacharow szereg reform gospodarczych, społecznych i politycznych. Postulował m. in. „pełną samodzielność gospodarczą, produkcyjną, kadrową i socjalną przedsiębiorstwa”, częściową denacjonalizację niektórych dziedzin gospodarki, części-

W 1971 roku Andriej Sacharow skierował memoriał do Leonida Breżniewa, którego główne myśli rozwinął, cztery lata później, w pracy „O kraju i świecie”. Uczony sugerował I sekretarzowi KC KPZR, że mocarstwo radzieckie staje się powoli anarchicznym kolosem brnącym w kryzys. Aby tego stanu nie pogłębiać, a odwrotnie — wychodzić z niego, proponował Sacharow szereg reform gospodarczych, społecznych i politycznych. Postulował m. in. „pełną samodzielność gospodarczą, produkcyjną, kadrową i socjalną przedsiębiorstwa”, częściową denacjonalizację niektórych dziedzin gospodarki, części-

W 1971 roku Andriej Sacharow skierował memoriał do Leonida Breżniewa, którego główne myśli rozwinął, cztery lata później, w pracy „O kraju i świecie”. Uczony sugerował I sekretarzowi KC KPZR, że mocarstwo radzieckie staje się powoli anarchicznym kolosem brnącym w kryzys. Aby tego stanu nie pogłębiać, a odwrotnie — wychodzić z niego, proponował Sacharow szereg reform gospodarczych, społecznych i politycznych. Postulował m. in. „pełną samodzielność gospodarczą, produkcyjną, kadrową i socjalną przedsiębiorstwa”, częściową denacjonalizację niektórych dziedzin gospodarki, części-

które da się uporządkować w następujących punktach.

- 1) Najważniejszym zadaniem świata jest pokojowe współistnienie, oparte na naukowych zasadach polityki międzynarodowej oraz metodach przewidywania i prognozowania przyszłych następstw dzisiejszej polityki.
- 2) Haniębnym zjawiskiem jest głód nękający wiele obszarów Ziemi, podczas gdy gigantyczne środki pochłania wysięg zbrojeń. Walka z głodem powinna stać się przedmiotem ogólnoswiatowego programu działania.
- 3) Powinien istnieć swobodny przepływ informacji, nie hamowany przez cenzurę ideologiczną, służący budowaniu własnej tożsamości, samopoznaniu i szukaniu prawdy.
- 4) Należy zwalczać wszelkie przejawy ograniczania i naruszania praw człowieka. Zwłaszcza zaś dostosować ustawodawstwa wewnętrzne do norm prawa międzynarodowego.
- 5) Trzeba ogłosić amnestię dla więźniów politycznych oraz dokonać weryfikacji procesów politycznych, w których skazano niewinnych.
- 6) Trzeba doprowadzić demaskowanie stalinizmu do końca oraz wyeliminować wszelkie neostalinowskie grupy wpływów i nacisku.
- 7) Należy wprowadzić zasady efektywnej gospodarki, rozszerzać sferę eksperymentu.
- 8) Trzeba poważnie zająć się ochroną środowiska naturalnego i włączyć się do ogólnoswiatowych wysiłków w tej materii.

Swoją pracę adresował Sacharow do najwyższych władz partii i państwa, do wszystkich obywateli ZSRR i wszystkich ludzi dobrej woli w świecie. Liczył na dyskusję. Niestety „Myśli” nigdy nie ukazały się drukiem, natomiast w gazetach ukazywały się „polemiki” z nimi w łatwej do skonstruowania poetyce; dalekiej od ogólnych zasad dyskusji, często bliskiej retoryce prasy brukowej.

Sacharow z oddaniem zaangażował się też w obronę praw człowieka, występując z petycjami w obronie osób krzywdzonych za przekonania czy z tych powodów represjonowanych. W 1966 roku do Rady Najwyższej RFSSR skierował protest przeciwko ustawie umożliwiającej właśnie takie prześladowania. Nie podejrzewał, że sam padnie jej ofiarą.

W 1971 roku Andriej Sacharow skierował memoriał do Leonida Breżniewa, którego główne myśli rozwinął, cztery lata później, w pracy „O kraju i świecie”. Uczony sugerował I sekretarzowi KC KPZR, że mocarstwo radzieckie staje się powoli anarchicznym kolosem brnącym w kryzys. Aby tego stanu nie pogłębiać, a odwrotnie — wychodzić z niego, proponował Sacharow szereg reform gospodarczych, społecznych i politycznych. Postulował m. in. „pełną samodzielność gospodarczą, produkcyjną, kadrową i socjalną przedsiębiorstwa”, częściową denacjonalizację niektórych dziedzin gospodarki, części-

W 1971 roku Andriej Sacharow skierował memoriał do Leonida Breżniewa, którego główne myśli rozwinął, cztery lata później, w pracy „O kraju i świecie”. Uczony sugerował I sekretarzowi KC KPZR, że mocarstwo radzieckie staje się powoli anarchicznym kolosem brnącym w kryzys. Aby tego stanu nie pogłębiać, a odwrotnie — wychodzić z niego, proponował Sacharow szereg reform gospodarczych, społecznych i politycznych. Postulował m. in. „pełną samodzielność gospodarczą, produkcyjną, kadrową i socjalną przedsiębiorstwa”, częściową denacjonalizację niektórych dziedzin gospodarki, części-

wą dekoloktywizację i przekazywanie ziemi rodzinnym gospodarstwom chłopskim na zasadach umowy dzierżawnej, częściową demopolizację handlu zagranicznego i stworzenie możliwości zawierania umów zagranicznych poszczególnym przedsiębiorstwom, rozwój spółdzielczości. Domagał się zwolnienia wszystkich więźniów politycznych oraz gwarancji prawnych wolności sumienia, przekonań oraz wolności informacji, a także, co chyba najbardziej zdęguszczało adresata, uspołecnienie władzy w ZSRR. Chodziło o społeczną kontrolę decyzji podejmowanych przez centralne organa władzy państwowej. Ponadto występował o likwidację wszelkich przywilejów partyjnych i służbowych, o zapewnienie wolności osiedlania się w ZSRR oraz wolności wyjazdów zagranicznych z kraju i wolności powrotu do niego. Wśród innych problemów, na które uczulał Sacharow Breżniewa, mowa była m. in. o pilnej potrzebie podniesienia jakości oświaty, powstrzymaniu degradacji ekonomicznej kraju oraz walce z plagą narodową numer jeden — alkoholizmem. Naturalnie obraz ZSRR malowany w memoriale odbiegał od oficjalnego wizerunku i reakcja mogła być tylko jedna. Roztoczono wokół uczonego kampanię dyskredytacyjną, w której określenia typu: „antysowiec”, „awanturnik polityczny”, „dziczejący w oczach naukowiec”, „zdrójca narodu” były chlebem powszednim. Nie oszczędzono także jego żony, sięgając po podłe insynuacje związane z żydowskim pochodzeniem Jeleny Bonner („syjonistyczna agentka pentagonowska”).

Kiedy w 1975 roku Andriej Sacharow otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla, kampania oszczerstw jeszcze się nasiliła i nabrała wyraźnego profilu sugerującego udział sił agenturalnych w przyznaniu nagrody; zwłaszcza ośrodków syjonistycznych i CIA. Wielka Encyklopedia Radziecka z początku lat 80., w XXII tomie, zamieściła noty sześciu Sacharowów, w tym najkrótszą poświęconą twórcy bomby termojądrowej i nobliście. Informowano przy tym kłamliwie, że „ostatnich latach zaprzestał działalności naukowej”, podczas gdy na przełomie lat 70/80 Andriej Sacharow napisał kilka prac z zakresu teorii grawitacji i pochodzenia świata, które przyniosły mu powszechne uznanie świata nauki.

MOWĘ myślenia o Sacharowie i izolację wielkiego uczonego przeważał w grudniu 1986 roku Michaił Gorbaczow. Zaproponował fizykowi powrót do Moskwy i pracę w instytucji, z którego go wyrwano przed sześciu laty. Andriej Sacharow przyjął propozycję, nie omieszkał jednak już w pierwszych słowach rozmowy z przywódcą powiedzieć, że jego radość z uwolnienia osłabia fakt, że w więzieniu zginął bliski przyjaciel Sacharowa, obrońca praw obywatelskich, mecenas Anatol Marczenko, a także, że jest pełen niepokoju o innych więźniów sumienia.

Od tego czasu minęły dwa lata. Sacharow powrócił do pracy naukowej i działalności publicznej. Występuje, jako gorący zwolennik „pieriestrojki”, „glasności” i reform Gorbaczowa. Czynniki zresztą nie tylko w ZSRR, ale i za granicą Wszędzie, gdzie jest — w USA, Włoszech, Kanadzie nie dyskutuje o tym, co w jego kraju było. Mówi o tym co jest. Przede wszystkim zaś przekazuje Zachód do intencji Gorbaczowa i autentyczności procesów zachodzących w tym państwie. I apeluje o międzynarodowe poparcie dla „pieriestrojki”. Czy takie jest potrzebne? Niewątpliwie — tak. Wpływa ono bowiem nie tylko na klimat zewnętrzny wokół ZSRR, ale, pośrednio, także na przemiany wewnątrz kraju. A o potrzebie tych przemian nie trzeba przekonywać! Andriej Sacharow, kandydując na listę ubiegających się o mandat deputowanego do Rady Najwyższej, w swoim środowisku, w Akademii Nauk ZSRR został „wycięty” z listy. Przeszedł gdzie indziej, ale po namyśle wycofał kandydaturę. „Jeżeli mógłbym się ubiegać to tylko z Akademią, której poświęciłem 35 lat życia”.

Hasło „Sacharow” brzmi wciąż jeszcze „niebezpiecznie”. Nie tylko dla autorów encyklopedii, w których tego hasła brakuje. Jest obecne w gorbaczowskiej „pieriestrojce”, co — jak się okazuje — znacznie lepiej widac z Bolonii niż uczelni krajów naszego bloku.

PS. Moim korespondentem polecam lekturę wydań „Kraju Rad” z 5 i 12 lutego br., w których ukazał się obszerny szkic poświęcony Sacharowowi, a z którego ja również korzystałem.

PS. Moim korespondentem polecam lekturę wydań „Kraju Rad” z 5 i 12 lutego br., w których ukazał się obszerny szkic poświęcony Sacharowowi, a z którego ja również korzystałem.

PS. Moim korespondentem polecam lekturę wydań „Kraju Rad” z 5 i 12 lutego br., w których ukazał się obszerny szkic poświęcony Sacharowowi, a z którego ja również korzystałem.

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga — oficera 3 Dywizji Strzelców Karpaccich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Píše też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński

Córce mojej poświęcam

Obóz internowanych
Szepietówka, 26 września 1939.

Od 21 września słychać było, że mamy jechać do Szepietówki. W końcu okazało się, że to prawda. Uformowani w „sotnie” zaczęliśmy 22 września opuszczać koszary w Dubnie, kierując się ku stacji kolejowej. Kiedy maszerowaliśmy szosą, samolot sowiecki zniżywszy się, zaczął rzucać ulotki w języku polskim. Silny wiatr znoślił je na pola, ale jedną udało mi się pochwytać i zachować.

„Żołnierze Armii Polskiej. Pańsko burżuazyjny rząd polski wciągnął was w awanturystyczną wojnę, pozornie przeważało się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronę.

Armia polska pocięła surowe porażkę, od której ona nie oprawić się w stanie. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom, ugraja głodna śmierć.

Komandarm Drugiej Rangi,
Michał Kowalów.”

Na stacji ruch ogromny. Masa żołnierzy, konwojowanych przez żołnierzy sowieckich. Szykuje się duży transport kolejowy. Niebawem ma odjechać. Niektórzy, korzystając z zamieszania, wychodzą z wagonów w celu zdobycia czegoś do jedzenia. Inni umykają po prostu, z dworca kierując się gdzieś przed siebie.

Może po półgodzinnej nieobecności ci, którzy wyruszyli po żywność wracają, przynosząc całe naręcza kielbas i konserw mięsnych, które nabyli za polską walutę w Eksportowej Spółdzielni Mięsnej na stacji. Mówią, że obsługa z wielką życzliwością sprzedaje polskim żołnierzom w niewoli zapasy spółdzielni. Na przykład za 5 złotych można nabyć metr kielbasy. Dobra rzecz — przyda się na drogę. Ogonki przed sklepem długie, a zapasy — nie wiem jakie...

Do wieczora odbywa się ładowanie wagonów. Nocą pociąg rusza.

Jedziemy w kierunku Zdołbunowa. Docieramy tam około godziny 8 rano następnego dnia. Niebo pokryte chmurami, spoza których od czasu do czasu przegląda słońce. Chwilami pada drobny deszcz. Nie jest to przyjemne, bo jedziemy otwartymi lorami.

Stacja kolejowa Zdołbunów zaczyna już przybierać wygląd sowiecki. Widać dużo osób z obsługi kolejowej w sowieckich mundurach. Poza tym — wiele wagonów osobowych i towarowych z rosyjskimi napisami i czerwona gwiazda. Przeróżne sygnały sowieckich lokomotyw przypominają raczej ryk syren okrętowych niż gwizd naszych parowozów. Widzę, jak pracownicy kolejowi usuwają tablicę z portretu Marszałka Piłsudskiego na jednej z ulic miasta. Przykry widok dla żołnierza polskiego.

Ze stacji Zdołbunów wyjeżdżamy z jak najgorszym wrazeniem, kierując się na Czerwoną Wschód.

☆

Po kilkunastu godzinach jazdy mijamy maszą ostatnią stację kolejową,

MOHYLANY. Zaraz za nią — brama graniczna z napisem z naszej strony: „RP” a z drugiej — „CCCP”. Od tej chwili jesteśmy już na terenach sowieckich. Tak! Smutna rzeczywistość.

Z wielką ciekawością przyglądamy się krajobrazowi. Jakże odmienny widok niż po naszej stronie! Wokół, jak okiem sięgnąć, pola i pola bez miedzy, ze zżętym zbożem.

Najciekawszym było dla mnie: jak właściwie wygląda granica obu światów? Granica polsko-sowiecka zrobiona była z drutu kolczastego poprzeczanego między słupami. Takie zasieki z drutów kolczastych, jakie zapamiętałem z wojny 1920 r., kiedy stawało je w okolicach Annopola wojsko polskie. Widząc owe „zasieki” pomyślałem: „Jestem w obozie za drutami kolczastymi”...

PRZYSTAJEMY na pierwszej stacji kolejowej na ziemi sowieckiej. Nosi nazwę — Krywin.

„Wysiądać!”. Opuszczamy wagony. Na ogromnym placu rozpoczyna się segregacja według narodowości: polska, ukraińska, białoruska, żydowska. Pod wieczór wpakowano nas ponownie do wagonów, ale już innych, stojących na torach sowieckich, szerokich.

Około godziny 2. rano, 25 września — przybyliśmy na stację kolejową Szepietówka. Noc ciemna, gwiezdna. Chłodno. Jesienny wiatr pociąga smagając nam twarze. Sama stacja — oświetlona. Wylądowawszy się, przechodzimy bocznym wyjściem obok budynku dworcowego. Dochodzą nas dźwięki radia nastawionego na cały głos. Zda się, iż chcą cały świat zakrzyczeć...

Wchodzimy do parku położonego za stacją. Nie pierwsi tu przybieramy.

Cały park płonie masą ognisk. Wokół gwar i hałas. Amatorzy nocnych wypraw starają się wydostać poza płot. Bezszykownie. Straż sowiecka czuwa wokół parku.

Noc bezsenność nie mija szybko. Żeby to już był dzień! Żeby słońce promieniami pogrzało...

W parku trzymano nas do późna wieczorem. W ciągu dnia — odbyła się generalna rewizja naszego bagażu. To znaczy — plecaków i chlebaków. Zabrano wszystkie drobne przedmioty mające rzekomo podpadać pod miano — „ostre narzędzia”: lampki elektryczne, igły, agrafki, obrączki ślubne i pierścionki, wieczne pióra, plany i mapy.

Tuż przed rewizją — dano jeść. Obiad — składający się z kaszy i 100 gramów chleba. O zmroku odprowadzono nas do jakichś koszar wojskowych. Zajęliśmy jeden ze środkowych gmachów. Zmęczeni, senni, kładziemy się na cementowej posadzce. Woda — w kranach na zewnątrz budynku. Zасыpiamy głębokim snem; kamiennym — na kamieniu.

W zamkniętym wagonie —
między Żytomierzem a Zwiahlem,
30 września 1939.

O godzinie 14. dnia 26 września odprowadzono nas z obozu z powrotem na stację kolejową Szepietówka i znów zapakowano do wagonów. Kiedy pociąg ruszył, wydano chleb i konserwy rybne, pochodzenia sowieckiego. Dla każdego kawałek chleba, i ćwierć kilo ryby na dwóch. Trochę machorki do palenia. Po raz pierwszy spotkał się tu z machorką, tak zwaną — „kryszką”...

Jedziemy. Dokąd? — nikt nie może zgadnąć. Podróż nasza trwa już kilka dni, zanim od jednego z maszynistów dowiedzieliśmy się, że mamy jechać do stacji Koziatyn, w kierunku na Kijów.

Coś w naszej marszrucie musiało się później zmienić. Od Koziatyna przyjęliśmy odwrotny kierunek.

Po kilku dniach jazdy przyjeżdżamy z powrotem do Żytomierza. Następnie, kierujemy się na zachód (mamy mapę i kompas). Dobra nasza: prawdopodobnie zawracają nas do Polski. Tak przynajmniej twierdzi ktoś w kacie wagonu. Wreszcie — pociąg staje. Wychylają się głowy przez okienka wagonów. „Puste pola” — ktoś mówi. „Jesteśmy na torze w głębokim wąwozie” — ktoś inny informuje. Przed wagonami, ruch żołnierzy z konwoju.

Otwierają się z trzaskiem wagony. „Wysiądać!”

Wyszliśmy błądzi i wynędzniali, ledwie trzymając się na nogach. Potem nastąpił odmarsz do pobliskich baraków. Jak się okazało — letnich koszar kawalerskich. Rozlokowano nas w trzech sąsiadujących barakach, w każdym po 900 ludzi.

W ten oto sposób znaleźliśmy się w mieście Nowograd Wołyński. Byliśmy pierwszym transportem, który przybył do Nowogrodu.

Było to 30 września 1939 r.

W obozie internowanych
w Nowogradzie Wołyńskim
(Zwiahlu),
24 października 1939.

W obozie tutejszym jestem już trzy tygodnie. Chłodno i głodno robić się zaczyna. W początkach października przybyło tu wiele nowych transportów. Kuchnie polowe sprowadzili. Chleb sprowadzają samochodami z Równego.

Dawna nazwa Nowogrodu Wołyńskiego to Zwiahel. Było to kiedyś miasto powiatowe w guberni wołyńskiej. Leży przy ujściu rzeki Smilki do Słuczy. Do Żytomierza jest stąd około stu kilometrów. Granica polska — prawie tuż obok, od leżącego już w Polsce Korca dzieli nas zaledwie 44 kilometry. Wiele razy wybiegałem myślami do Korca. Mam przecież w tym mieście rodzinę.

Mieszkam w baraku nr 2. Każda z sal tego baraku, a jest ich kilka, wraz z salą teatralną — przepełniona. Pełno nas jak śledzi w beczce. Mówią, że stan ogólny obozu dochodzi do 15 tysięcy ludzi.

BYLIŚMY pierwszym transportem jaki przybył do Nowogrodu. W ciągu pierwszego dnia wylądowano około 3000 ludzi. Przez kilka następnych, do 5 października, przybyło jeszcze kilkanaście tysięcy z tymczasowych obozów kijowskich.

W mojej sali, która ma około 20 metrów kwadratowych powierzchni tłoczy się setka osób. O zajęciu względnie wygodnego miejsca na podłodze nie ma mowy. Pokotem leżą ludziska pod ścianami; na środku sali — w dwóch rzędach...

Wyżywienie bardzo kiepskie, nieregularne. Raz dziennie trochę ciepłej stawy i ok. 500 gramów czarnego, sowieckiego chleba.

Z każdym dniem, w miarę jak przybywało wciąż więcej i więcej ludzi, warunki mieszkaniowe stawały się coraz gorsze, a wyżywienie coraz mizerniejsze.

☆

Zaraz w początkach października spotkałem tu kilku moich krajanów. Edka Gila z Nowej Wsi, Stacha Babireckiego z Opoczki, Jasia Skubidę z ul. Radomskiej w Annopolu, Franka Iskrę z Grabówki, Jana Garbacza z Szastarki, Jaskiewicza z Borowa. Pierwszego spotkałem Gila, a on mnie naprowadził na resztę. Gil miał trochę zapasów żywnościowych więc zaraz odkroił kawałek boczką i wręczył mi. Frajda na całego; boczek bez tłuszczu, dawno takiego nie jadłem! Stach Babirecki poczęstował mnie, z kolei, papierosami.

Niedługo potem natknęliśmy się na Wiktora Rajnyngiera z Huty. Zbił się wraz z kilkoma innymi do ucieczki z obozu. Niestety, nic z tej ucieczki nie wyszło, bo złapali ich strażnicy i sprowadzili z powrotem.

W naszym obozie znajduje się cała masa ludzi wysoko postawionych w Polsce. Poznałem niektórych. Trzymają się paczką w jednej sotni: Sosnowski, prawdopodobnie oficer sztabowy saperów; Kozakowski, również oficer saper; Piechowicz z Lublina, o którym wspominałem już przy innej okazji; Stanisław Muttermilch, matematyk z Warszawy; Czesław Lejewski, docent z Lublina; Zapaśnik, również saper. W ciągu długich obozowych dni i nocy urządzamy sobie pogadanki naukowe, którym patronują Muttermilch i Lejewski.

W tym samym baraku znajduje się śpiewak teatrów warszawskich, Pręgowski. Poznałem również dwóch młodych podchorążych, artylerzystów — Janusza Krajewskiego z Lublina i Stanisława Dyję. Jest tu także z nami warszawski lekarz ziołowy — Niemojewski.

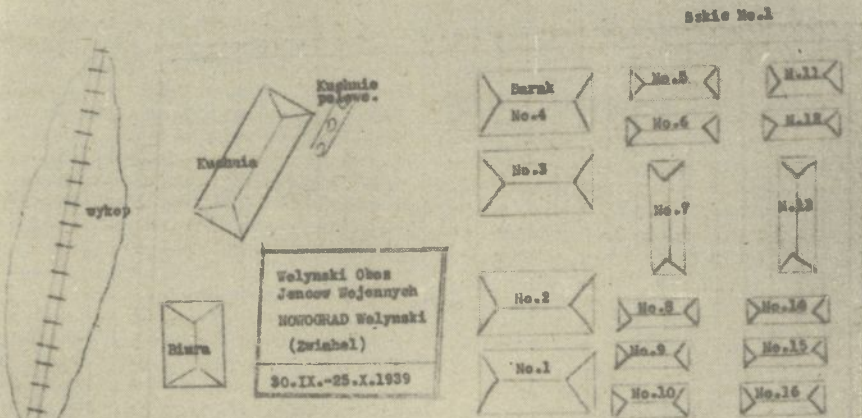
(Koniec odcinka 3. — cdn.)

Podał do druku i opracował:

Mirosław Derecki

Obóz internowanych w Nowogradzie Wołyńskim (Zwiahel). Szkic wykonany przez W. Flisińskiego.

Repr. Waldemar Stępień



JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA ? (7)

BIERUT ZALEGAŁ ROZSZERZYĆ REPRESJE

Janusz Wrona

KREGI społeczne, które obejmowały swoimi wpływami poszczególne partie, stanowiły potencjalną bazę politycznego oparcia dla PKWN. Odwołanie się do tradycyjnych, przedwojennych nazw trzech partii i próby pozyskania starych działaczy miały wpłynąć na izolowanie oponentów, którzy pozostawali w konspiracji, i wskazywać właściwy kierunek odbudowy życia politycznego. Niebagatelne znaczenie dla kształtowania jego ram miała sytuacja międzynarodowa. Potrzeba przełamania dyplomatycznej izolacji PKWN na arenie międzynarodowej wymagała nadania obozowi rewolucyjnemu bardziej reprezentatywnego społecznego charakteru.

Jesienią 1944 r. na terenach wyzwolonych istniał drugi nurt życia politycznego. Tworzyły go konspiracyjne, nielegalne z punktu widzenia prawa, partie i stronnictwa. Obok organizacji terenowych PPS WRN działało SL „Roch”, komórki Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy. Łączyła je niechęć i wrogość do PKWN, a następnie Rządu Tymczasowego, którym odmawiano prawa reprezentowania narodu polskiego. Propaganda polityczna ugrupowań obozu londyńskiego przedstawiała popierające PKWN partie polityczne jako ugrupowania kryptokomunistyczne. W cytowanej już odezwie SL „Roch” z sierpnia 1944 r. pisano: „mocno rozplakatowane ogłoszenia, że w skład Krajowej Rady Narodowej i Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego weszli ludowcy, demokraci i socjaliści, mijają się zupełnie z prawdą. W skład tych samozwańczych władz weszli jedynie PPR i jakieś inne bliżej nie określone organizacje [...]”. Działalność politycznych ugrupowań konspiracyjnych wspierana była formalnie lub nieformalnie przez podziemne wojskowe organizacje zbrojne.

W pierwszych miesiącach PKWN wykrystalizowała się struktura życia politycznego Polski. Tworzyły ją PPR, „odrodzona” PPS, radykalne skrzydło SL i SD. Niezależnie od dzielących je różnic, wszystkie wymienione partie opowiedziały się za programem reform zawartym w Manifestie PKWN. Organizacyjnym przejawem współdziałania partii i stronnictw było utworzenie w listopadzie 1944 r. Centralnej Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Demokratycznych.

Odbudowa życia politycznego w 1944 r. odbyła się zgodnie z założeniami polskich komunistów, przygotowanymi w latach 1943—1944. W ten sposób na gruncie polskim stworzono nową, nieznaną dotychczas koncepcję funkcjonowania ugrupowań politycznych. Miały one służyć strategicznym celom ruchu komunistycznego w Polsce. Ich istnienie warunkowane było uznaniem hegemonicznej roli PPR.

Świadomość odgrywania decydującej roli w tworzeniu systemu władzy nie budziła wątpliwości w kierownictwie PPR. „Jesteśmy partią decydującą i na nas spada cała odpowiedzialność — mówił na posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR 29 października 1944 r. Marian Spychalski. — Bez nas nic się nie może dziać. Mimo koalicyjności, PKWN nie utrzymałby się ani godzinę wbrew PPR. Nie można tego powiedzieć o innych partiach”. Przekonanie o sile i wyjątkowej pozycji PPR w Polsce podzielali też jej członkowie.

Władysław Gomułka obawiał się, iż uprzywilejowane usytuowanie PPR w systemie politycznym może w przyszłości stworzyć przeszkody w procesie odbudowy kraju. Dlatego też od jesieni 1944 r. wielokrotnie publicznie przekonywał współtowarzyszy, iż PPR nie może być „partią monopolityczną” i bronił tezy o potrzebie porozumienia z ludowcami i współpracą z socjalistami i demokratami.

Warunki tej współpracy określić miała PPR. Tymczasem współdziałanie PPR ze Stronnictwem Ludowym oraz

PPS napotykało na duże trudności, zarówno na szczeblu centralnym, jak i terenowym. Odrodzone SL, mimo iż korzystało z poparcia PPR, nie w pełni ufało komunistom, obawiając się kolektywizacji i sowietyzacji Polski. Ostry kryzys w stosunkach obu partii ujawniony został w październiku 1944 r., gdy na rozszerzonym posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR Bierut wystąpił z atakiem na kierownictwo lubelskiego SL, uznając je za „agentów Londynu i wrogów PPR”.

Bezpośrednie przyczyny konfliktu wiązały się z krytyką ludowców wobec wydanego 6 września 1944 r. dekretu o reformie rolnej. Andrzej Witos, będący wiceprzewodniczącym PKWN i kierownikiem resortu Rolnictwa i Reform Rolnych, nie aprobował natychmiastowej parcelacji majątków obszarowych i proponował odłożyć ją do czasu całkowitego wyzwolenia ziem polskich spod okupacji niemieckiej. Był też przeciwny tworzeniu gospodarstw małorolnych, zalecał natomiast upemnorolnienie gospodarstw karkowatych. Ponadto postulował przyznanie ziemianom rekompensaty w postaci arealu do 50 ha ziemi.

Na posiedzeniu PKWN, na którym omawiano problemy reformy rolnej, była obecna Wanda Wasilewska: „Opór Witosa pokonałam bardzo paskudnym chwytym [...] — relacjonowała we wspomnieniach. — W jakiejś chwili przerwy, kiedy przyniesiono kanapki, ktoś mówił coś o pogodzie, a ja zapytałam Witosa: „Ciekawe, jaka o tej porze jest pogoda w Komi ASRR? [miejsce zesłania Andrzeja Witosa w 1940 r. przez władze radzieckie — J. W.]”. Wówczas Witos siedział i więcej głosu nie zabrał. [...] mnie wtedy zabrała osobista wściekłość, że ten, którego się wyciągnęło, z którego się zrobiło działacza, bo on przed tym żadnym działaczem nie był, tak się zachowuje. Więc trzeba mu przypomnieć, skąd się w ogóle wziął i jaki ma dług wobec ruchu lewicowego i wobec nas wszystkich”.

Przedstawiciele lubelskiego SL nie czuli się także usatysfakcjonowani reprezentacją, jaką im „przyznano” w KRN i PKWN. Przedstawicielka tej partii, Anna Gadzałanka, zarzuciła wręcz kierownictwu PPR, że „dąży do monopolu”. Niepokój ludowców budził również rozwój sytuacji społeczno-politycznej na terenach wyzwolonych. Wiązał on się z pobylem delegacji PKWN w Moskwie i reprimendą, jakiej kierownictwu PPR udzielił Stalin. Oceniał on bardzo krytycznie dotychczasowy sposób rozwiązywania przez PKWN wewnętrznych zagadnień w Polsce, w tym sposób realizacji reformy rolnej.

Jak relacjonował na rozszerzonym posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR B. Bierut: „Po zapoznaniu się z sytuacją u nas tow. Stalin przeszedł na omówienie zagadnień wewnętrznych. Wskazywał na to, że szybkie rozwiązanie reformy jest kwestią podstawową, że powolne tempo realizacji grozi nam wielkim niebezpieczeństwem, bo przeciwnik znalazł czas, aby się zorganizować i że opór się wymaga. Tow. Stalin powiedział, że jeśli przed nami stoi zagrożenie usunięcia z widowni całej klasy, zniszczenia obszarników — to wtedy to już nie jest reforma a rewolucja agrarna, a tego rodzaju rewolucji nie przeprowadza się w majestacie prawa i cackaniem się przygotowaniami. Rewolucja taka musi być przeprowadzona metodami rewolucyjnymi. U nas tow. Stalin nie widział tych metod rewolucyjnych i krytykował nas za to”. Jak informował dalej Bierut, problem ten jeszcze ostrzej został postawiony przez Stalina na wąskiej konferencji z udziałem Bieruta, Roli-Zymierskiego, Osóbki-Morawskiego i Wandy Wasilewskiej. Przywódcą ZSRR skrytykował koncepcję powierzenia realizacji reformy rolnej SL. Miał stwierdzić, że „oddanie tak wai-

nej dla przyszłości sprawy w pacht jedne u człowieka [Andrzejowi Witosowi — przyp. J. W.], jednej partii — było błędem”.

„Druga konferencja — kontynuował sprawozdanie B. Bierut — skończyła się bardzo ostrą krytyką, która wprawdzie miała charakter osobisty, skierowana była mianowicie do mnie, ale — jak mi się zdawało, biła nie tylko we mnie. Tow. Stalin krytykował naszą miękkość, rozlazłość, że nie umiemy występować śmiało. Kiedy się dowiedział, że żaden obszarnik nie został jeszcze posadzony, wymyślał: Cóż wy za komunisty. To nie tylko brak komunizmu, to brak patriotyzmu, właściwego stosunku do potrzeb narodu. Ta krytyka wiązała się z naszym stosunkiem do walki z wrogiem. Zdenerwowanie tow. Stalina wynikało z informacji tow. Bulganina [przedstawiciela ZSRR przy PKWN — J. W.] o zwolnieniu grupy ludowców, która wzywała do bojkotu i do walki z nami i urządziła nielegalne zebrania. Taka większość, podchodzenie w rękawiczkach do wroga, który nas zwalcza, dyskredytuje nas jako rewolucjonistów. Tow. Stalin zwracał uwagę na konieczność zmiany: „pierestroitsa ili ustupit”.

Delegacji PKWN powrócił do Lublina 3 października 1944 r. Następnego dnia, na posiedzeniu PKWN, zalecenie zastosowania ostrzejszego kursu i usmierzania opozycji przybrało postać dezzyderatów, jakie przedstawił w swoim wystąpieniu kierownik Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, późniejszego MBP — Stanisław Radkiewicz. Skrytykował on stosowany przez PKWN „liberalizm demokratyczny” i zalecił zastosować środki represyjne, które zagwarantują spokój w życiu publicznym: „Chciałbym, żeby nasza dotychczasowa liberalna polityka uległa zmianie i ustąpiła miejsca więcej czujności. [...] Dotychczasowe środki represyjne, stosowane przez nas, były przypadkowe. Nie dawało to efektu, bo kierownictwo przeciwnika miało możliwość unikania represji. Obecnie zaczyna się nowy okres naszej pracy. Przyśpiesziliśmy do całego szeregu prac planowanych, z góry przygotowanych”. Uzupełnił wystąpienie Radkiewicza, Bierut zalecał rozszerzyć represje nie tylko na bezpośrednich wykonawców czynów godzących w nową władzę: „Polityka bezpieczeństwa publicznego powinna być skierowana na unieszkodliwienie tych, którzy przeciwstawiają się programowi PKWN”.

Praktyczna realizacja nowego kursu w meldunku komendanta Okręgu Lubelskiego AK, płk. Franciszka Żaka, skierowanemu do sztabu Naczelnego Wodza w Londynie 19 października 1944, wyglądała następująco: „Aresztowanie oficerów i żołnierzy AK w ostatnich dniach bardzo duże. Z Zamku w Lublinie wywożą ich w nieznaną. Na dłuższą metę nie utrzymamy się. Stałe oblavy milicji obywatelskiej dla oczyszczenia terenów z żołnierzy AK w powiecie lubelskim. Bez sądu rozstrzelano 38 żołnierzy AK. Propaganda nazywa nas bandytami, mordercami, faszystami, pachołkami Hitlera itp. Oficerowie i żołnierze AK internowani w Brześciu wywiezieni do Kazania względnie Riazania. Terror NKWD taki sam jak Gestapo”.

Metoda rządów silnej ręki, która w dużej mierze dotknęła działaczy ruchu ludowego i członków Batalionów Chłopskich zbulwersowała część kierownictwa lubelskiego SL. Przyjmując na początku listopada 1944 r. delegację tej partii B. Bierut usłyszał, iż „społeczeństwo czuje się zastrążone. Ginią ludzie bardzo wartościowi i niepodobna nawet stwierdzić, co się dzieje z nimi [...] masowe aresztowania odpychają działaczy. [...] Gadzałanka oświadcza, że więzienia są przepelnione najlepszymi bojownikami i demokratami. Żąda wyjaśnienia. Ludowcy nie mają żadnego wpływu”. Przedstawiciel ZMW

„Wici” postulował podczas spotkania amnestię dla podziemnych działaczy politycznych. Równocześnie przedstawiciele SL sformułowali zarzut, że PPR przyciąga element zdemoralizowany: „wszelkie szumowiny”, co odpycha społeczeństwo od władzy. Eliminacja ludowców z PKWN wynikała, ich zdaniem, z dążenia komunistów do ułatwienia sobie pracy i uniknięcia „krytyki i kontroli”.

Stosunkami panującymi w Stronnictwie Ludowym i Polskiej Partii Socjalistycznej interesował się Stalin osobiście. Wypytywał o nie Bieruta podczas jego wizyt w Moskwie. Według relacji Bieruta i Bermana, przedstawionej członkom Biura Politycznego KC PPR. Stalin „lekceważąco wypowiadał się o Stronnictwie Ludowym, które nigdy nie będzie silną partią. Zawsze ulegać będzie różnym wpływom. Wyrażał on również opinię, że niedobrze byłoby, gdyby PPR zalana została elementem chłopskim. PPR oprócz się musi przede wszystkim na robotnikach”. Konflikt ludowców z komunistami doprowadził do usunięcia Witosa z PKWN, mimo sprzeciwu ludowców, którzy zapowiadali, że wyślą w tej sprawie delegację do Stalina. Ze stanowiska kierownika Resortu Administracji Publicznej odwołano innego przedstawiciela SL, Stanisława Kotka Agroszewskiego. Obaj działacze, na skutek osobistej interwencji Bieruta, ustąpili ze składu władz naczelnych SL, zaś ster władzy w tej partii przeszedł do rąk polityków o nastawieniu wyraźnie propeperowskim.

Jakie uwagi i wnioski wywołała sprawa konfliktu ludowców z komunistami wśród członków kierownictwa PPR?

GOMUŁKA podzielał ocenę Stalina o niemożności przeprowadzenia reformy rolnej przez Stronnictwo Ludowe. Swoje stanowisko sekretarz generalny PPR uzasadniał wewnętrznym zróżnicowaniem SL, istnieniem nastrojów prolonindyńskich oraz wyczerpania i bierności. Podobną sytuację dostrzegał w Polskiej Partii Socjalistycznej. W stosunku do demokratów [SD — przyp. J. W.] wyrażał opinię, „że ich w ogóle pod uwagę brać nie można. Faktyczną siłą jest przede wszystkim nasza Partia”. Dwa miesiące później Gomułka poparł koncepcję J. Stalina, by oprócz wpływu komunistów na wsi o Związek Samopomocy Chłopskiej. Jako realne uznawał niebezpieczeństwo zmajoryzowania w najbliższej przyszłości ruchu ludowego przez zwolenników Stanisława Mikołajczyka: „Nie powinniśmy więc dążyć do budowania SL jako organizacji masowej. Tym niemniej SL jest nam jeszcze potrzebne na dłuższy okres historyczny. Dlatego zadaniem naszym jest stworzenie sobie warunków na oddziaływanie i kierowanie aparatem SL. Rozbudowę SL winniśmy ułatwić tylko w tym wypadku, jeśli powstają organizacje współpracujące z nami. Podobną opinię wyraził Berman, wyraźnie akcentując, iż „nie można podchodzić do SL jako do trwałego tworu o dużym znaczeniu politycznym”.

Bierut zaś, podobnie jak Hilary Minc przyznawał, iż PPR, kształtując kierownictwo lubelskiego SL, popełniła błędy kadrowe, które należy naprawić. Z tej krytyki Stronnictwa Ludowego ogólniejsze wnioski wyciągnął Bierut. Uważał, że PKWN grozi niebezpieczeństwo, spowodowane zmianą postaw politycznych partii sojuszników, tj. PPS, SL i SD. Miało być ono konsekwencją „nieodstatecznej pracy naszej wśród kontrahentów”, przede wszystkim wśród ludowców”. W efekcie kierownictwo PPR zdecydowało podjąć decyzje, które miały zapobiec domniemanemu rozłamowi w bloku partii tworzących PKWN.

(cdn.)

Dr Janusz Wrona jest adiunktem w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii UMCS. Specjalizuje się w historii PRL.

STATYSTYKA MINĘŁA SIĘ Z ŻYCIEM

Dokończenie ze str. 10

wał, a na dodatek występował pan przy odbiorze budynku jako inspektor nadzoru.

— Mam odpowiednie uprawnienia, ale nie mam za to, proszę pani, zbędnych pieniędzy na tzw. robotę administracji. Proszę mi wierzyć, że z całą odpowiedzialnością podpisałem jako inspektor nadzoru oddanie tego budynku do eksploatacji i miałem na to wszystkie potrzebne protokoły. A że budynek jest nie wykończony? Jeszcze długo będzie nie wykończony, bo wykańczają go sami mieszkańcy. Jaka szkodliwość jest w tym, że podpisałem sprawozdanie do WUS? Czy dla statystyki miałem odmalować klatki, wypucować schody, a więc niepotrzebnie wydać pieniądze, by już następnego dnia lokatorzy zaczęli nosić do swoich mieszkań płyty, cement, glazurę itd.? Statystyka zaczęła mijać się z życiem. A klatki i tak zostaną uprzątnięte i wymalowane na końcu, czy to się statystyce podoba, czy nie.

★

— Raz na zawsze wyleczono mnie z budowania mieszkań. To był pierwszy i ostatni blok — mówi Czesław T., główny specjalista do spraw inwestycji w Zakładzie Energetycznym w Lublinie, który podpisem swoim, złożonym pod sprawozdaniem do WUS stwierdził ukończenie budynku w Łagiewnikach. — Chcieliśmy się pochwalić, że potrafiliśmy wybudować blok zakładowy i stąd blok ten trafił do gusowskiego sprawozdania, choć mógł być wykazany dopiero przy całym zadaniu inwestycyjnym, z którego został sfinansowany. Nas nie można traktować tak samo, jak spółdzielczość mieszkaniową.

17 grudnia ubiegłego roku dyrektor naczelny Zakładu Energetycznego wraz z przedstawicielami zakładowych organizacji politycznych i społecznych pojechali do Łagiewnik, by stwierdzić, że blok zakładowy został wybudowany.

— Powołałem komisję odbioru — mówi dyrektor — i jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia dwóch pracowników sprowadziło się do swoich mieszkań. Przydzielano na te mieszkania dawno już zostały rozdane, bowiem każdy z pracowników ma sam wykańczać swoje mieszkanie. I rzeczywiście: jedno z mieszkań do tej pory jest pra-

wie w stanie surowym. Ale czy dla tego jednego mieszkania mieliśmy wstrzymać zamieszkanie pozostałym siedmiu rodzinom, które już się tam wprowadziły?

— Zakład nie sporządził z pracownikami umów w zakresie robót związanych z wykańczaniem przez nich mieszkań.

— Proszę pani — niecierpliwi się dyrektor — pracownicy wiedzą, co mają robić, a ja wiem, z czego mam ich rozliczać, więc nie będę tworzył dodatkowej sterty papierów.

Pani Ewa F., specjalista ds. planowania i sprawozdawczości, która sporządziła sprawozdanie do WUS, nie może ze mną rozmawiać. Jest zbyt roztrzęsiona tym, co się stało i tym, co ją jeszcze czeka.

★

Urząd Miasta w Lubartowie wybudował budynek komunalny, 40-mieszkaniowy na osiedlu Słowackiego. WDI Oddział Rejonowy w Lublinie, jako inwestor zastępczy, sporządziła do WUS sprawozdanie stwierdzające gotowość budynku do podjęcia eksploatacji. Sprawozdanie to podpisał Janusz W., zastępca dyrektora WDI.

— Nie mam sobie nic do zarzucenia — stwierdza Janusz W. — proszę tylko przejrzeć nasze dokumenty. W teczce jest umowa zawarta z wykonawcą, czyli Komunalnym Przedsiębiorstwem Remontowo-Budowlanym w Lubartowie, według której ostatecznym terminem wykonania zadania jest 30 czerwiec 1989 roku. Są też aneksy do umowy, ostatni z 3 listopada 1988 roku, który wyłączył z wykonania roboty wykończeniowe (ogólnobudowlane) w mieszkaniach, a więc ścianki działowe, tynki wewnętrzne, posadzki, malowanie.

— Na koniec grudnia 1988 roku — mówi Janusz W. — mieliśmy protokół odbioru budynku od wykonawcy podpisany przez użytkownika, a więc Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej przy udziale Urzędu Miasta. Dla nas był to efekt końcowy i jako taki mogliśmy go wykazać w sprawozdawczości. Nas doprawdy nie interesuje to, że Urząd Miasta w Lubartowie ocala się z wydawaniem przydziałów na mieszkania w tym bloku i zawieraniem umów do-

tyczących zakresu robót wykończeniowych.

★

Na początku stycznia w lubartowskim bloku komunalnym, a więc przeznaczonym chyba dla osób najbardziej potrzebujących, trwał rozgardiasz. Jedni kończyli już w „swoich” mieszkaniach kładzenie parkietu, inni nie mieli nawet wylanych podłóg, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mieli wykonać we własnym zakresie.

Nie miałam szczęścia rozmawiać przez telefon z naczelnikiem miasta. Był on dla mnie nieuchwytny. Zacytuje więc pisemne wyjaśnienie naczelnika, złożone w tej sprawie 10 stycznia br.:

„Do chwili obecnej przyszli lokatorzy tego budynku nie otrzymali decyzji o przydziale mieszkań... Zgodnie z porozumieniem zawartym dnia 1988.07.04 pomiędzy Urzędem Miasta w Lubartowie — inwestorem, KPRB — wykonawcą robót, PGKiM — przyszłym użytkownikiem i najemcami, roboty w nim wymienione przyszli najemcy lokalu mają wykonać do 15 kwietnia 1989 roku. Urząd Miasta jest w trakcie zawierania umów z przyszłymi najemcami, które będą stanowiły podstawę do wydania decyzji o przydziale mieszkania”.

★

W UCHWALE nr 42 z 1978 roku (z późniejszymi zmianami) stwierdzono, że w budownictwie spółdzielczym i zakładowym za datę przyjęcia budynku do eksploatacji uważa się datę protokołu odbioru budynku od wykonawcy. Wykonywanie robót wykończeniowych nie powoduje przesunięcia terminu eksploatacji budynku.

Wojewódzki Urząd Statystyczny w Lublinie sporządził informację o trzech przypadkach sfalszowania danych statystycznych i przekazał ją do Prokuratury Wojewódzkiej w Lublinie oraz do Wojewódzkiej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej PZPR z wnioskami o podjęcie stosownych działań.

Wobec wszystkich osób, które sporządziły i akceptowały sfalszowane sprawozdania, skierowane zostały do kolegium do spraw wykroczeń wnioski o ukaranie.

Isabella Wlazłowska

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:

2.03—5.03 godz. 18: „Gałązka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński.

7.03—8.03 godz. 17 (scena „Reduta”): monodram w wykonaniu Joanny Morawskiej pt. „Worek Judaszów”.

7.03—8.03 godz. 19: „Portret” Sławomira Mrożka; reż. Jacek Andrucki.

Teatr Muzyczny:

2.03—8.03 występy gościnne w Rybniku, Dąbrowie Górniczej, Częstochowie, Kielcach, Mielcu: „Paganini” Ferencza Lehara.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia: 3.03 godz. 19, 4.03 godz. 18: koncert symfoniczny. Orkiestrą PFL dyryguje Jan Pruszek. Solistka: Kaja Danczowska — skrzypce. W programie: Uwertura „Coriolan” op. 62 L. van Beethovena, Koncert skrzypcowy e-moll op. 64 F. Mendelssohna-Bartholdy, V Symfonia B-dur Fr. Schuberta. 7.03 godz. 19: recital fortepianowy Roberta Plagge.

PLASTYKA

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988”.

Muzeum Wincentego Pola — wystawa pt. „Amor Patriae Nostra Lex — z Siedlca Krasiccy herbu Rogala”.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4): — wystawa Dariusza Lipskiego i Sławomira Marca: instalacje i obiekty, — wystawa Ireneusza Wydrzyńskiego „Po prostu szkło”.

Galeria „Labirynt” (ul. Grodzka 3) — wystawa rzeźby Mirosława Balki pt. „Rzeka”.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — od 7.03 wystawa Zbigniewa Libery i Jerzego Truskowskiego.

Galeria „Pod Akacją” — wystawa grafiki Kazimierza Łońskiego.

Muzeum J. Czechowicza (ul. Narutowicza 10) — wystawa grafiki Mirosława Piotrowskiego „Akwaforta z akwatiną”.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34): — wystawa tkaniny Elżbiety Znamirskiej,

— wystawa malarstwa Kazimierza Znamirskiego.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe — wystawa pt. „Maciej Rataj”.

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Stanisława Baja.

W ZAMOŚCIU

Arsenal (ul. Zamkowa 2) — wystawa pt. „Pocztówka zamojska”.

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Romy Polańskiej (czynna do 5.03).

BWA — 3.03 godz. 17: otwarcie wystawy tkaniny Wojciecha Sadleja.

ROZRYWKA

W LUBLINIE

5.03—6.03 godz. 17, 20 (hala MOSIR) — Jan Pietrzak i jego goście.

SEMESTR PRAKTYK TEATRALNYCH W GARDZIENICACH

OPT „Gardzienice” w czerwcu 1989 r. organizuje „semestr praktyk teatralnych”, w czasie którego prowadzone będą zajęcia i praktyki, które kształtują specyfikę pracy zespołu. Oto niektóre z nich: dynamizmy ciała, rytmy ciała w działaniach partnerskich, fenomeny głosu, mówienie śpiewem, zespołowe praktykowanie muzyki i śpiewu.

Semestr podzielony zostanie na dwa etapy: pierwszy od 11 do 25 czerwca — dla większej liczby uczestników (20—30 osób), drugi — od 25 czerwca do około 15 lipca, dla kilku do kilkunastu osób. Pierwszy etap zakończony zostanie wyprawą do wybranych wsi południowo-wschodniej Polski, natomiast w drugim etapie, poproszone do kontynuowania pracy osoby zostaną wprowadzone w materię spektaklu, przygotowywanego obecnie przez „Gardzienice”, z możliwością uczestnictwa w nim.

Niezbędnym warunkiem wzięcia udziału w „semestrze” jest spotkanie wstępne. Zgłoszenia, do 15 marca br., przyjmowane są w Stowarzyszeniu Teatralnym „Gardzienice”, ul. Grodzka 5a. 20-210 Lublin (tel. 293-40). Odpowiedź zainteresowani otrzymają do 22 marca br.

(zm)

OGŁOSZENIE

MATRYMONIALNE

JAGA — Korespondencyjne Biuro Matrymonialne. 20-001 Lublin 1, skrytka pocztowa 382. 4542/G-3

SPÓŁKA Z O.O. „CONTACT” OFERUJE

- magnetowidy
- kamery video
- telewizory kolorowe (firm zachodnich)
- kasety video i magnetofonowe
- komplety kabli video
- kserokopiarki
- kalkulatory
- profesjonalny sprzęt fotograficzny
- sprzęt komputerowy
- radiomagnetofony, wieże i inny sprzęt audio.

JESTEŚMY W STANIE ZREALIZOWAĆ KAŻDE ZAMÓWIENIE WYSTAWIAMY RACHUNKI BIAŁA PODLASKA, ul. 1 Maja 1, tel. 363-63, tlx 863432

454/K-5

Z KSIĘGARNI

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

C. Collodi: „Pinokio”. Nasza Księgarnia, 350 zł. Wydanie 14 przygód drewnianego pajaca.

Juliusz Verne: „Zielony promień”, Zrzeszenie Księgarskie, 500 zł. Powieść przygodowa.

Małgorzata Musierowicz: „Opium w rosole”, Nasza Księgarnia, 380 zł. Współczesna powieść o tematyce młodzieżowej.

PROZA

Lew Tolstoj: „Anna Karenina”, PIW, t. I/II 1500 zł. Wydanie dwudzieste.

Tomasz Mann: „Józef i jego bracia”, Czytelnik, t. I/III 2400 zł. Wydanie III.

Joseph Conrad: „Między lądem a morzem”, Wyd. Głob, 750 zł. Wznowienie.

Giuseppe Tomasi Di Lampedusa: „Lampart”, Iskry, 700 zł. Wydanie piąte.

Andrzej Kuśniewicz: „Eroica”, KAW, 850 zł. Wydanie piąte.

Marek Hlasko: „Piękni, dwudziestofletni”. Wyd. Alfa, 520 zł. Pierwsze oficjalne wydanie krajowe tej swoistej autobiografii; zarazem głos dwudziestolatków w czasach polskiego Października.

Roman Bratny: „Lot ku ziemi. Czwartki ubogich. Rozstrzelane wesele”. Wyd. Literackie, 920 zł.

DOKUMENT

„Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939—1944” (pod red. Zygmunta Mańkowskiego), Wyd. Lubelskie, 1500 zł.

Zygmunt Firley: „W Kedywie i w »Burzy«” „Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 650 zł.

MONOGRAFIE

Tadeusz Kępiński: „Witold Gombrowicz — studium portretowe”, Wyd. Literackie, 850 zł.

SZTUKA

Dagmar Śrenska: „Francuska grafika rękotkowa”. Arkady, 4500 zł. Reprodukcyjne.

ENCYKLOPEDIE

„Mała encyklopedia medyczna”, PWN, t. I/III, 2600 zł.

SŁOWNIKI

„Wielki słownik polsko-rosyjski”, Wiedza Powszechna t. I/II, 8500 zł.

PORADNIKI

O. Andrzej Czesław Klimaszko: „Wróćmy do ziół”, Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, 670 zł.

Jadwiga Celczyńska: „Mleko i sery w naszej kuchni”, Wyd. Watra, 360 zł.

TV

CZWARTEK
2 MARCA
Program I

8.35 Domator: Nasza poczta
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dempsey i Makepeace na tropie” (14)
10.15 Domator: To się może przydać
10.45 Magazyn wspomnień: Autochromy cz. 1
10.55 Domator
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 „A śpiew do dzisiaj słychać” — film dok. Ludomira Motylskiego
16.25 Dla młodych widzów: Kwant
17.15 Teleexpress
17.30 Patrol — wojskowy mag. publ.
17.55 Ku prawdzie — białe plamy w ruchu ludowym
18.20 Sonda: Print
18.50 Dobranoc: Pająk Chwat, wszystkich brat
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” (14): „Zawodowy bokser” — serial krym. prod. ang.
21.00 Pegaz
21.50 Studio Sport: Po pucharach
22.05 Rozmyślenia prof. Mariana Stępnia
22.15 Daj nam, daj Witkacy sił... — reportaż o Teatrze Witkacego w Zakopanem
22.55 Dt — echa dnia
23.15 Język francuski

Program II

16.55 Język francuski (18)
17.25 Program dnia
17.30 Do szkoły pod górkę
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 Muppet show, czyli rewia gwiazd — James Coco
19.30 Puls — mag. medycyny
20.00 Dni muzyki hiszpańskiej w Poznaniu — reportaż
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino Studyjne Dwójki: „Dziki i piękny” — film dok. prod. franc.; reż. Federick Rossif
23.15 Komentarz dnia
23.20 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter (4)

PIĄTEK

3 MARCA
Program I

8.35 Domator: Nasza poczta
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Hasło: Hotel Regina” — film sensacyjny produkcji ZSRR
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Mieszkać — wszechnica budowlana
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Studio Sport: Halowe MŚ w lekkiej atletyce
18.00 70-lecie odzyskania niepodległości — program dok.
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt

20.05 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Eugeniusz Biskup — „Rio de Janeiro nie istnieje”; reż. Eugeniusz Biskup; wyk.: Jan Frycz, Krzysztof Jędrsek, Beata Paluch, Edward Lubaszewko
21.25 Czas — mag. publ.
22.00 Studio Sport: Halowe MŚ w lekkiej atletyce
22.45 Szkoła mistrzów — Robert Stando
23.05 Dt — echa dnia
23.30 Świat jaki jest: „Wyrok na krawężnik” — film dok. prod. ang.
23.50 Zakończenie programu

Program II

16.55 Język angielski (48)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrostkowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Ludzie, o których się mówi
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie” (9): „Słomiany wdowiec” — serial prod. TVP
19.30 Dookoła świata: Wokół przylądka Horn
20.00 Krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Pamiętnik szalonej gospodyni” — film obycz. prod. USA
23.15 Komentarz dnia

SOBOTA

4 MARCA
Program I

8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Fraggles” (31) — film prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Azymut — wojskowy mag. publ.
11.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Krucze piękno” — film dok. prod. NRD
12.30 Telewizyjny Teatr Prozy: Georges Simenon — „Bella”; reż. Tomasz Zygadło; wyk.: Piotr Fronczewski, Elżbieta Kępińska, Roman Wilhelm, Zofia Saretok
14.25 „Wesele ryb” — film dok. prod. NRD
15.00 Komedia, komedia, komedia: „Jak rozpętałem II wojnę światową” — cz. 1 pt. „Uciezka” — prod. pol.
16.25 Losowanie Dużego Lotka
16.35 Portrety: „Bolesław Limanowski” — film dok. Wł. Wasilewskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Premie i premiery — telewizyjna giełda piosenki
18.30 Butik — mag. Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Wielka podróż Bolka i Lolka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Zima
19.30 Dt
20.05 „Wielki nóż” — film fab. prod. USA
21.55 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielarz
22.10 Telewizyjny przegląd sportowy — Halowe MŚ w lekkiej atletyce
23.10 Dt — wiadomości
23.15 Jutro w programie
23.20 — 0.50 Kino sensacji: „Ostatni raz” — film prod. USA

Program II

14.55 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Powitanie
15.00 „U stóp Kilimandżaro” — film przyr. prod. USA
15.30 Spektrum — nowości nauki i techniki
15.45 Meandry architektury: Mur
16.05 „Zieleń życia” (1) — serial przyr. prod. ang.
16.30 Globalna wioska

16.45 Spotkania z Maciejem Ilcwiekiem
17.00 Dziewczyna miesiąca — reportaż z Łodzi
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Roger Corman — dziki anioł Hollywoodu” — film dok. prod. USA
19.30 Alfa i omega: Pojedynek we dwoje
20.00 Filharmonia Dwójki: Gra Orkiestra Filharmonii Śląskiej w Katowicach pod dyrekcją Michaela Zilma
21.05 „Oswoić twarz” — film dok. Franciszka Kuduka
21.30 Panorama dnia
21.55 „Raj odłożony na później” odc. 6 pt. „Przywódcy” — serial obyczajowy prod. ang.
22.45 Komentarz dnia
22.50 — 23.20 „W labiryncie” odc. 9 pt. „Słomiany wdowiec” — serial fab. TVP

NIEDZIELA

5 MARCA
Program I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Szwajcarscy Robinsonowie” (18) — serial przygodowy prod. kanadyjskiej
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Wspólnota Pacyfiku” odc. 2 pt. „Echa wojny” — serial dok. prod. ang.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Marek Sierocki zaprasza
12.30 Studio Sport: MŚ w wyścigach motocyklowych na lodzie
13.00 Telewizyjny koncert życzeń
13.50 Teatr dla dzieci: Elżbieta Zaleska — „Wyprzedaż bajek”
14.30 Morze — mag. publ.
14.50 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
15.10 „W kamiennym kręgu” odc. 70 i 71 — serial fab. prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Od Picadora do Zaleszczyk
18.00 Studio Sport: Halowe MŚ w lekkiej atletyce
18.40 Antena
19.00 Wieczerynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Rzeka kłamstwa” (1) — serial prod. TVP; reż. Jan Łomnicki; wyk.: Jowita Miodlikowska, Marzena Trybała, Marta Klubowicz i inni
21.35 Raport — publicystyka międzynarodowa
21.45 Sportowa niedziela, a w niej Halowe MŚ w lekkiej atletyce
22.45 Magdalena z Kossaków (11): „Malerka karo karmiła mi żona”
23.00 Mody polskie (1): „Z cdyzysku” — film dok. Józefa Gębskiego. Sposoby ubierania się Polaków w latach 1945—49
23.30 Szkic do katalogu polskiej sztuki współczesnej — reportaż z wystawy w Zachęcie
23.45 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.50 Dt — wiadomości
23.55 Jutro w programie

Program II

8.45 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
9.20 „Rzeka kłamstwa” (1) — serial fab. TVP (dla niesłyszących)
10.50 Magazyn lotniczy
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek — mag. spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino rodzinne: „Marzenia Amandy” odc. 3 i 4 — serial fab. prod. ang.
13.10 100 pytań do...

13.50 „Polacy” — film dok.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Powiązania” — odc. 3 pt. „Głosy z oddali” — film dok. prod. ang.
15.35 Roman Lasocki przedstawia: Wadim Riepin
16.05 Być tutaj — gawęda prof. Wiktor Zina
16.20 Kalendarz filmowy „Kino-Oko”
17.15 Aktualności kulturalne
17.30 Blżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Mieszkanie roku — reportaż Cezariusza Papiernika z Golubia-Dobrzynia
19.30 Galeria Dwójki: Franciszek Maśluszczak (malarz)
20.00 Studio Sport
21.00 Strefa zmian — spotkanie z Janem Malakiem
21.30 Panorama dnia
21.45 „Słońce też wschodzi” (1) — film fab. prod. USA; reż. James Goldstone; wyk.: Jane Seymour, Hart Bochner, Robert Carradine i inni
23.15 Komentarz dnia
23.20 — 23.25 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter (5)

PONIEDZIAŁEK

6 MARCA
Program I

16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Zwariowane rekordy (1)
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Reklamy z prezentami
17.40 Echa stadionów
18.30 Laboratorium: W królestwie mrozu
18.50 Dobranoc: Lisiczka
19.00 10 minut
19.10 Gorące linie — publicystyka międzynarodowa
19.30 Dt
20.00 Pytania dnia
20.10 Teatr Telewizji: Jerzy Mikke — „Ostatni z Jagiellonów” cz. 3 — ostatnia
21.45 Program publ.
22.20 Gwiazdy jazzu — John Scofield
22.55 Dt — echa dnia
23.15 Język niemiecki (18)

Program II

16.55 Język niemiecki (18)
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: O błędnych skrzyżowaniach
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletrans
19.30 W Zelazowej Woli — utwory Fryderyka Chopina gra Halina Czerny-Stefańska
20.00 Spotkanie z Kalinką — teleturniej
20.40 „Uwaga, dokument”: „Cannes, to Cannes” — film dok. Piotra Włodarskiego
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Wulkan — życie i śmierć Malcolm’a Lowry’ego” — film dok. prod. kanad.
23.25 Komentarz dnia

WTOREK

7 MARCA
Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Sprawa Mariany Pine-dy” (4) — serial prod. hiszp.
10.40 Domator: Rady na życzenie
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Wspólna Polska — wspólne sprawy — mag. publ.
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (23) — serial

anim. prod. austr.
17.15 Teleexpress
17.30 Premiery Starego Kina: „Rozkosze gościnności” cz. 2 — film prod. USA
18.10 Ku prawdzie — program publ.
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 Dobranoc: Sniegowe skrzaty
19.00 10 minut
19.10 Od „a” do „z” — „o” — jak odpady — program publicystyczny
19.30 Dt
20.00 Pytania dnia
20.10 „Sprawa Mariany Pine-dy” (4) — serial prod. hiszp.
21.10 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.35 Atlantyda '99 — program muzyczno-poetycki
22.20 Program publ.
23.00 Dt — echa dnia
23.20 Język angielski (18)

Program II

16.55 Język angielski (18)
17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości” (1): „U progu sztuki współczesnej” — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Program publ.
18.50 Zespół adwokacki „Dyskrecja”: „Zywiol śniegu” — program kabaretowy
19.30 Kolorowy zawrót głowy — mag. narciarski
20.00 Za chwilę dalszy ciąg programu — program rozrywkowy
21.00 Powtórka z historii
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dorastanie” (2) — serial TVP
22.45 Komentarz dnia

ŚRODA

8 MARCA
Program I

8.35 Domator: Nasza poczta.
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Spotkania na lotnisku” (6): „Nauczka” — serial obycz. prod. NRD
10.55 Domator: Przyjemne z pożytecznym
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości
15.55 Losowanie Express i Super Lotka
16.05 Bariery
16.25 Scena TDC: Dla dzieci „Cojak”
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj: Archiwum XX wieku
18.50 Dobranoc: Miś Uszatek

19.00 10 minut
19.10 Gra o milion
19.30 Dt
20.00 Pytania dnia
20.10 Prapremiery: „Od dziewiętej do piątej” — komedia obycz. prod. USA; reż. Colin Higgins; wyk.: Jane Fonda, Dolly Parton, Lily Tomlin, Sterling Hayden
21.55 Program publ.
22.25 Program rozrywkowy
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język rosyjski (19)

Program II

16.55 Język rosyjski (19)
17.25 Program dnia
17.30 Magazyn „102”
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron — mag. reporterów
19.00 Rzeczpospolita nieznaną — Gdynia
20.00 Wirtuozi wiolinistki — Aureli Błaszczok
21.00 Wawrzyny dla aktorów — rep.
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się” (10): „Grób wiec rodziny von Rausch” — serial TVP
23.05 Telewizja noca
23.50 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepien (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska: Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójciszewicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (działy). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409. Zam. 305. 17.02.89. B-5.

POLSKA NORMA

CZY ANDERS BYŁ POLAKIEM ?

WKONCU ubiegłego tygodnia w Dcnu Polonii w Warszawie odbyła się konferencja prasowa Józefa Klasy, sekretarza generalnego Towarzystwa „Polonia”. Niespełna dwa lata, podczas których ten polityk pozostaje u steru organizacji, zaczęły walczyć z inicjatywą i decyzjami rzeczywistości zbliżających Polonię do Polski oraz przelamujących lody niechęci wychodzącej wobec PRL.

Tym razem dowiedzieliśmy się, że Rada Naczelna Towarzystwa „Polonia” podjęła kolejny poważny krok na drodze porozumienia wszystkich Polaków. W swojej uchwale z 8 lutego br. pełnym głosem upomniała się o prawa 76 generałów i oficerów „wydziedziczonych” z polskiego obywatelstwa haniebną uchwałą Rady Ministrów z 24 września 1946 roku. Wśród generałów znajdowali się: Władysław Anders, Antoni Chruściel („Monter”), Stanisław Kopański, Stanisław Maczek, Tadeusz Malinowski i Karol Masny. Temu „ak-

towi” towarzyszyła także nagonka propagandowa mająca upodobnić wspomnianych żołnierzy-tulaczy do hitlerowców.

23 listopada 1971 roku, z inicjatywy Edwarda Gierka, podjęto nigdy nie opublikowaną uchwałę o anulowaniu tej poprzedniej. Ale... tylko w 75 przypadkach, gdyż decyzja z 1971 r. nie dotyczyła, nieżyjącego wówczas od roku, generała Władysława Andersa. Trudno dziś rozstrzygnąć przyczyny. Jedną z prób objaśnienia jest rzekoma obawa o reakcję Breżniewa i „wojennego lobby” w ZSRR na zadośćuczynienie pamięci Andersa. Zresztą sama uchwała docierała do środowisk polonijnych wyłącznie drogą ustną. Zainteresowany mógł się dowiedzieć od konsula, że oto znów może być obywatelem Polski, ale nie na piśmie...

Wychodząc z założenia, że takie przywracanie Polsce jej bohaterów wojennych jest nie tylko groteskowe, ale w ogóle uwłaczające normie moral-

nej polskiego patriotyzmu, Towarzystwo „Polonia” apeluje w swej uchwale do najwyższych władz PRL o publiczne uznanie decyzji z 1946 r. za niesprawiedliwą, krzywdzącą, a także o wyrażenie ubolewania i dokonanie aktu sprawiedliwości pełnym głosem i oficjalnie. Ma się rozumieć konsekwencje takiego nowego aktu prawnego miałyby dotyczyć także generała Władysława Andersa. W pięćdziesiątą rocznicę wybuchu II wojny i czterdziątą piątą powstania PRL jest po temu nie tyle „dobra okazja”, co właściwie okazja ostatnia. Jeżeli nie mamy pozostawać nadal egzotyczni dla Europy ze swym stosunkiem do historii narodowej.

Podczas konferencji Józefa Klasy poruszono także kilka innych spraw, których waga zasługuje na omówienie. Wystarczy wspomnieć chociażby ideę „okrągłego stołu” Polonia — Polska sformułowaną przez Edmunda J. Osmańczyka i działacza polonijnego Bolesława Wierzbiańskiego z Nowego Jorku, czy też zasygnalizowanie pilnej potrzeby zmian kilku ustaw „odstraszających” Polonię od traktowania Polski jako rzeczywistej i prawdziwej Ojczyzny. Przez duże „O”.

Waldemar Piasecki

KTO JEST KIM W REGIONIE

PYŁAK Bolesław. Lat 68. Biskup lubelski. Doktor habilitowany teologii, profesor zwyczajny. Urodzony w Łopienniku Górnym koło Krasnegostawu. Do gimnazjum uczęszczał w Tarnowskich Górach. Maturę zdawał jako eksternista w czasie okupacji. W 1943 roku wstąpił do Lubelskiego Seminarium Duchownego mającego wówczas swą siedzibę w Krężnicy Jarej. W 1949 roku rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym KUL. Studiował także we Francji, Belgii i Włoszech. W 1966 roku mianowany biskupem tytularnym Midiki i sufraganiem lubelskim. Autor wielu książek i prac naukowych. 20 VII 1975 roku objął rządy nad diecezją lubelską. Wielki Kanclerz KUL. Sposób na życie: posługiwanie Bogu, wiernym i nauce.

CHROMIŃSKI Aleksander. Lat 60. Wdowiec. Dwoje dzieci. Syn Adam i córka Barbara. Dyrektor Liceum Ogólnokształcącego im. Czartoryskich w Puławach. Absolwent WSP Kraków. Urodzony w Białymstoku, na Lubelszczyźnie od 1950 roku. Żyje problemami polskiej oświaty. Czasami nie wie, czy już się gniewać, czy jeszcze znosić z godnością jej mizериę. Wierzy w uczciwość i poczucie odpowiedzialności sporej grupy nauczycieli. Szkół nie można pozamykać i oddać się rezygnacji. Chce zatem przekazać młodzieży wiarę w przyszłość na przekór trudnościom.

JAWORSKI Tomasz. Lat 45. Kawaler. Dyrektor Państwowego Teatru Laiki i Aktora im. H. Ch. Andersena w Lublinie. Absolwent filologii polskiej na KUL i leńingradzkiego Instytutu Teatru, Muzyki i Kinematografii. Aktor i reżyser. Wykładowca na Wydziale Reżyserii Teatru Lalek w Białymstoku. Docent. Sam teatr jest życiem, a teatr lalek szczególnie. W tym społecznie deprecjonowanym zawodzie trzeba umieć wymyślać siebie. Po studiach na KUL i w Leningradzie — totalny mistyk (tak mawiał o nim Klemens Krzyżagórski).

ROWALSKI Paweł. Lat 42. Żonaty. Zona Krystyna. Dwie córki: Edyta i Magdalena. Trener II-ligowej drużyny piłkarskiej RKS Motor Lublin. Były piłkarz ŁKS Łódź. Czterokrotny reprezentant Polski. Były trener ŁKS, Widzewa, Radomiaka, Polonii Bytom. Absolwent AWF w Poznaniu. Sposób na życie to dobra książka, dobra muzyka rozrywkowa i klasyczna, wiara w niedgiętsze wartości: uczciwość, pracowitość, lojalność.

POLSKIE GOSPODARSTWO

LICHY PIENIĄDZ, LICHY TOWAR

TYTUŁ tego felietonu powinien być właściwie napisany w cudzysłowie, ponieważ nie ja go wymyśliłem. Zaczepiłem go z „Nowej księgi przysłów polskich”, a powiedzenie to pojawiło się w Polsce około połowy ubiegłego stulecia. Jak twierdził wybitny znawca polskiej kultury Oskar Kolberg, Polacy mają więcej przysłów dotyczących pracy i pieniądza, niż skrzętni i robotni Niemcy. Może to oznaczać także, że bardziej lubimy gadać niż działać, czego powojenne lata są wybitnym przykładem. Jeżeli pójdziemy jednak za interpretacją wybitnego znawcy przysłów, Samuela Adelberga i przyjmujemy, że przysłowia powstają w trakcie tzw. praktyki społecznej, to owa mnogość powiedzeń o pracy wskazuje właściwe proporcje. Tym bardziej jeżeli dodamy, że pierwsze całe zdanie, jakie zostało utrwalone w piśmie po polsku, dotyczy także pracy (daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj) i znaczy w dzisiejszej polszczyźnie mniej więcej: daj, niech ja pamięle [na żarnach], a ty odpoczni.

Zawsze urzekała mnie wyjątkowa uroda tego pierwszego polskiego zdania i jego głęboka, a zarazem symboliczna treść. Oto zawiera się w nim (a słowa te wypowiada mężczyzna do kobiety) cała tradycja polska rycerskość, ten nasz „pański” genre de vie, na, który tak bardzo uczuleni są Rosjanie i któremu zawdzięczamy stary (bo jeszcze z XVIII wieku) przydomek „Francuzów północy”. Dalej zdanie to informuje, że od najdawniejszych czasów umiemy współdziałać z innymi, że jesteśmy narodem bardzo „uspołecznionym” w toku pracy i baczmy, aby praca odbywała się sprawiedliwie. Na tym tle warto by się zastanowić, dlaczego tak uparcie powtarza się dzisiaj (oczywiście: w pewnych, określonych kręgach), że Polacy to skrajni indywidualiści, a ich ulubionym porządkiem politycznym jest anarchia. A może zastanawiać się nie trzeba, gdyż dobrze wiadomo, że opinie takie upowszechniali po rozbiorach rasyjscy dyplomaci i historycy oraz Wolter (tak, tak, proszę państwa!), który za pieniądze carycy Katarzyny II napisał wyjątkowo niesmaczny paszkwil o Polsce i Polakach. Miało to oczywiście, służyć uzasadnieniu tezy o konieczności rozbiorów Rzeczypospolitej: skoro Polacy nie potrafią rządzić się sami, my będziemy rządzić nimi.

Wreszcie po trzecie i ostatnie, zdanie to mówi nam również nieco o tzw. preferencjach społecznych. Oto bowiem ów pierwszy pisarz polskojęzyczny opisał nam nie ucztę na dworze, wojnę czy intrygi, ale właśnie pracę, najwykleszą pracę polskiego kmiecia. Nie powinniśmy jednak się temu dziwić, ponieważ głównym motywem pierwszych dzieł literatury staropolskiej jest właśnie praca: począwszy od znanej satyry „Na leniwych chłopów”, do Reja i jego „Żywota człowieka poczciwego”.

Jeżeli zaś ktoś nie wierzy literaturze i przysłowiom, odsyłam go do każdej książki na temat dziejów gospodarczych pierwszej Rzeczypospolitej. Oto w średniowieczu (a był to okres rozbitcia dzielnicowego i najazdów mongolskich) i w epoce Jagiellonów Polska była naprawdę europejskim i kwitującym krajem, gdzie żyło się lepiej i lżej niż w Niemczech czy Francji. Słynna kolonizacja niemiecka miast polskich nie wynikała wszak z żadnej zaborczości, ale z prostego i jedyngo faktu, że w Polsce było więcej pracy i więcej pieniędzy. Racjonalny Niemiec osiedlał się u nas wyłącznie dlatego i o żadnym „drang nach Osten” nigdy zapewne nie słyszał.

Dlaczego w takim razie, zapyta uważny czytelnik, Polska stoczyła się w osiemnastym stuleciu na samo dno i przestała być zdolna do obrony swojej suwerenności? Ha! Przez dwa stulecia kłócili się o to najwybitniejsi historycy i nie doszli do zgody. Ba! Na tym temacie wyrosły dwie poważne szkoły historyczne: krakowska i warszawska i one także zachowały cderbne zdania. Czy więc felietonista, dyletant, może wnieść w tej mierze cokolwiek nowego? Spróbujmy jednak pójść zaczętem tukiem myśli o pracy, a może uczynimy chociaż mały kroczek do przodu.

Otóż wybitny socjolog amerykański Thorstein Veblen sformułował przed przeszło pół wiekiem teorię tzw. klasy próżniaczej. Prześledziwszy dzieje kilku społeczeństw doszedł on do wniosku, że tylko te prosperują dobrze, które elity władzy wybierają spośród ludzi pracy produkcyjnej i zainteresowanych pracą przynoszącą coraz większe zyski. Tylko bowiem tacy ludzie potrafią nadać organizmowi społecznemu kształt, który pracy sprzyja, który pracę preferuje, ułatwia i z dobrze zorganizowanej pracy czyni największe dobro narodowe.

A jak było w Polsce w XVIII wieku? Szlachta, utraciwszy jakąkolwiek konkurencję gospodarczą ze strony mieszczaństwa i Żydów poczuła się na tyle bezpieczna, że nie musiała starać się o lepszą wydajność pracy. Gospodarka folwarczna nie musiała być nastawiona innowacyjnie, bo pańszczyzniany chłop o statusie prawie niewolnika był wystarczająco wydajny, by szlachcie mógł utrzymać swój dwór i żył na takim poziomie. A ktoś, kto sam nie pracuje, przestaje w końcu dostrzegać związek pomiędzy pomyślnością polityczną kraju a pracą produkcyjną.

Czy teoria Veblena ma zastosowanie także do dziejów gospodarczych PRL? Trzeba z przykrością stwierdzić, że tak. Oto jeżeli sięgniemy do informatora biograficznego „Kto jest kim w Polsce 1984” (nowsze nie ma) i przeczytamy jakikolwiek życiorys jakiegokolwiek polityka (są wyjątki, ale potwierdzają one naszą regułę), to dowiemy się, że był on najpierw „działaczem” ZMP, potem ZMP, a potem inna organizacja młodzieżowa, potem „działaczem” partyjnym, by wreszcie osiąść na wysokim stanowisku, gdzie decyduje się o pomyślności gospodarczej kraju. A co robi taki „działacz”? On „działa” oczywiście, ale w sferach jak najdalszych od pracy produkcyjnej. Cała jego kariera życiowa, cała jego pomyślność finansowa zależy zatem wyłącznie od „działania”. Nic przeto dziwnego, że człowiek taki nie widzi żadnych związków między pracą a tym, co wokół niego istnieje. Toteż rządząc, czyli podejmując decyzje o fundamentalnym znaczeniu dla gospodarki, nie myśli on o tym, jak rządzić, aby np. było więcej samochodów, skoro problem dostępności samochodu dla swojej warstwy rozwiązuje on za pomocą asygnat. Niedostatek innych towarów rekompensują specjalne sklepy, kasyna i owe słynne „przeciwy” dla wybranych, o których co rusz dowiadujemy się z prasy. I dopóki elita władzy w PRL rekrutować się będzie z warstwy „działaczy”, a nie ludzi pracy, dopóty zdadzą się na nic każde reformy. Żadna bowiem ustawa nie zadekretuje tego specyficznego sposobu myślenia, który kieruje ludzką energią ku twórczej pracy, ku innowacji, nie zaś ku intrygom czy wymyślaniu coraz to nowych sposobów zapewnienia sobie i swojej warstwie dostępu do deficytowych dóbr.

Andrzej W. Pawluczuk

W NUMERZE 8. OPUBLIKUJEMY:

● KATYŃ ● WYWIAD Z AUTOREM LISTY POLEGŁYCH W KATYNIU ● „POLESIA CZAR” ● REPORTAŻE I ROZWAŻANIA O NEOKATECHUMENCE, O WYSTAWIE W BIAŁEJ PODLASKIEJ, O ANONIMACH Z BIŁGORAJA ● PAMIĘTNIK Z ŁAGROW ● ŁOBODOWSKI ● JAKA POLSKA — JAKA WŁADZA? ● WYWIAD ZE „SZTUCZNĄ BABĄ” ● TYGODNIOWY PROGRAM TV.